Helistan Szkice i obrazki

Helistan.

SZKICE i OBRAZKI

z rysunkami

Arkadiusza Mucharskiego.



WARSZAWA.
Druk i Skład główny w drukarni Lepperta i S-ki.
Elektoralna 8.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Августа 1896 года.

Żydzi na wsi.

DĄB.

Obrazek z natury.



Smutno kołysały się brzozy płaczące, cały las szumiał posępnie, a stuk siekier i klątwy drwali obiegały echem dąbrowę, uprzedzając mieszkańców, że dziedzic las sprzedał!...

Uciekały płoche zające, rozlatywało się ptactwo wystraszone i kwiląc żałośnie, chroniło się po polach.

Ciekawa przepiórka wychyliła się z pszenicy i wodząc zdziwionym wzrokiem po przerażonych siostrzycach, rzuciła pytanie:

— Kto kupił?... kto kupił?...

A wszystkowiedzący derkacz z poblizkiej łąki odpowiadał jej chrapliwym głosem:

— Żyd-żyd!... żyd-żyd!...

— Ha! ha! ha! ha! — śmiała się pućka, ukryta w dziupli dzikiej gruszy, która skromnie stała obok rozłożystego dębu.

Dąb ten był dla nabywcy prawdziwem utrapieniem, przyczyną niejednej troski i częstych, a gorzkich rozmyślań.

— Aj waj mir! po co to tu wisi?... mawiał on zwykle, patrząc pożądliwem wzrokiem na wspaniałe drzewo.

A wisiał tam maleńki obrazek Naświętszej Panny, jakąś pobożną zawieszony ręką i on to chronił odwieczny dąb od zagłady, bo żyd bał się ruszyć drzewa, otoczonego czcią wieśniaków,

Dziwnie się składało, że ilekroć razy żyd pod dębem stawał, zawsze z dzikiej gruszy wybiegał dziki śmiech pućki.

Drażniło to żyda; spluwał i mruczał gniewnie.

— Szmij się! szmij... Nie będę się nazywał Icek Lejbuś Baumfresser, jak ty nie zapłaczesz!

A jednak wzdychał ciągle:

— Aj waj mir! po co to tu wisi?...

Wzdychał i szukał „judasza", któryby chciał się podjąć przewieszenia obrazka na ową gruszkę, ale długi czas szukał napróżno!.

Chłopi, domyślając się podstępnych knowań, ostrzegali żyda, że go nieszczęście spotka, jeżeli złych zamysłów nie porzuci, lecz żyd drwił sobie z nich w duchu i nie odstępował od zamiaru.

— Głupie chamy! — filozofował — jakie to czemne bidło jest... czy ten obrazek powiesić na dąb, czy na gruszkie, to zawsze będzie sobie wisiał na drzewo. I co by to szkodziło, żeby który oszoł tam wilazł i przewiesił obrazek?.. Jabym miał z tego interesu dąb, a on-by miał rubel. Mało?.. Miałby dwa ruble!.. I za co?.. za takie głupie robote!.. Bo czy to nawet pasuje, żeby taka mała rzecz wisiała na takie duże drzewo?..

— Wczoraj mówiłem o tym interesie z jednym chłopem, to ta szelma jeszcze na mnie napluł i gadał, co się boi Pana Boga!.!.

— Pana Boga się boi!... Ja się też boję, ale Pan Bóg wisoko, a rubel nizko... aj waj!... czy to który wie, co to jest rubel?...

— Rubel to jest wszystko: całki świat, całkie kochanie, miłoszcz i usianowanie i różne bardzo słodkie przyjemności!..

— Za rubel każdy gałgan może bicz wielki pan hrabia! z rublem wszędzie się trafi i przekonają się te paskudne chłopy, że ja i do dżykie gruszkie trafię!...

— Wtedy będzie a szeinehece!.. niech sobie pamiętają, że ja codzień z nimi miałem śmierć i inne chorobę!...

. . . .

Niestety! zamach Icka Lejbusia Baumfressera na upragniony dąb blizkim był rozwiązania. Wynalazł gdzieś za dziesiątą granicą ubogiego wyrobnika, obarczonego liczną rodziną i ten, zachęcony obietnicą stałej pracy przy wyrębie lasu oraz dwoma rublami nagrody, podjął się przewieszenia obrazka.

— A soj!.. śmiał się żyd, zacierając ręce, znalazł się mądry chłop: dziś w nocy pójdziemy do lasu, on zrobi, co potrzeba; potem podpiłujemy drzewo, resztę wiatr wiwróci i będzie git!..

Układał plany, nie wiedząc, że i chłopi sprawy nie zasypiali. Za radą starego Szymona, wychodzili po kilku do boru i ukryci w krzach, pilnowali dębu do czasu, póki żyd całego obszaru nie wyrąbie.

Pewnej pochmurnej nocy spostrzegli dwa cienie, zbliżające się ostrożnie do cicho szeleszczącego dębu:

— Oho!.. idą!.. szepnął Szymon, dejta pozór chłopcy!..

Zaparli dech w sobie i czekali, co dalej nastąpi; jakoż wkróce posłyszeli rozmowę:

— To tu!..

— Wysoko wisi?...

— Łokieć, dwa, może pięcz nawiży...

— No, to daj rubla, żydzie, coś obiecał.

— Jak zliziesz, teraz to ci może wilecić.

— Dawaj, bo nie puńdę...

— Na, masz, masz! tylko się śpiesz, bo się dzień zrobi...

Po chwili, z drzewa już, dał się słyszeć przytłumiony głos:

— Naliźć nie mogę!...

— Wiży!.. szukaj wiży!.. niecierpliwił się Icek.

— Jest już!.. zaraz go zdejmę!..

— Ha! ha! ha! ha! — rozległ się nagle przeraźliwy śmiech pućki, wypłoszonej niezwykłym szmerem na sąsiednim dębie.

— Rety!... krzyknął siedzący na drzewie i runął jak długi na ziemię!...

— Co to jest?.. co ty tak prędko lecisz?... przecie to tylko sowa krzyczy!... wołał żyd. dzwoniąc jednak zębami.

— Nogi! moje nogi! jęczał potłuczony.

— Co nogi? na co nogi? daj obrazek!..

— Został...

— Został?! to wleź jeszcze raz! przecie wziąłeś odemnie rubel!...

— Jezu... Maryjo!.. ty żydzie przeklęty!.. przez ciebie nogi połamałem...

— Aj waj mir!.. biadał żyd, na co ty to zrobiałeś?..

— Pan Bóg mnie skarał...

— A mnie kto zapłaci?..

— My!... odezwały się głosy z za krzaków i Szymon z towarzyszami szybko biegli do dębu.

— Gwałtu!.. ryknął Icek i skoczył do ucieczki.

— Chłopcy! żyda i tak Boska kara nie minie.. chodźta



....Jezu... Maryo!.. ty żydzie przeklęty!.. przez ciebie nogi połamałem..

do tego biedaka, co jęczy pod drzewem... zawdy to katolik!.. przemówił Szymon.

— Juści katolik!.. odmieniec jucha i tylo... zaprotestował Kuba.

— Ratujta! dobrzy ludzie, jęczał nieszczęśliwy.

— Ratuj się sam, kiejś się Boga nie bał!...

— Cicho! cicho! dyć to zawdy człowiek; człowiek a nie żyd, upominał Szymon, zbliżając się do dębu.

Kuba z towarzyszami, dzięki powadze, jakiej Szymon we wsi zażywał, spokojnie zbliżyli się do potłuczonego, który, jak się okazało, żadnego poważniejszego obrażenia nie poniósł, tylko silnie się rozbił.

— Odpuśćta mi, ludzie, odezwał się biedak do pochylonych nad nim chłopów, grzeszny jestem... bardzo grzeszny!.. ale i nieszczęśliwy. Dzieciska mi głodem marły, a żyd mnie otumanił!..

— Oj, te żydy! te żydy!.. — westchnął Szymon.

— Tak gadał... tak namawiał i pracę obiecywał, że mnie skusił...

— Słyszyta chłopcy... kto tu winien — przemówił Szymon z powagą — zawdy godom, że te łotry, gałgany, każdego otumanią, a osobliwie jak bida zaźry do chałupy... Żebyśta wiedzieli, że kto od dzisia puńdzie Ickowi do roboty, nie wart się „krześcijaninem“ nazywać!..

— Nie pójdziema!.. — odpowiedzieli stanowczo chłopi.

— A teraz weźmiemy biedaka, zaniesiemy do wsi, na plebaniją, nasz dobrodziej najlepiej mu poradzi na ciało i duszę!..

. . . .

. . . .

Przez drżące liście drzew zaczęły się przedzierać pierwsze blaski dnia, budząc wszystko do życia. Ptaszki świergotały zawzięcie, jakby pytając, kto był przyczyną nocnych wydarzeń, a uparty derkacz roznosił po łące:

— Żyd żyd! żyd-żyd!....

Pućka milczała, ukryta w dziupli dzikiej gruszy, dąb zaś zaszumiał i szumiał, jakby coś opowiadał, jakby dziękował Najświętszej Panience, że go od zagłady ocaliła.

BOCIAN.

Szkic z natury.



Wczesnym rankiem przyleciał do wsi bocian, siadł na gnieździe, otrząsł z pyłu skrzydła, przeciągnął się, wygiął szyję i zaklekotał. Przeszedł się raz i drugi po starej siedzibie i stanął, jakby zdziwiony, że nikt go nie wyszedł powitać. Zaklekotał znowu, — i znowu cisza.

Pierwszy raz zdarzyło się to od niepamiętnych lat.

Zwykle, gdy ziemię, zaskrzepłą jeszcze, słonko ze snu zimowego budzić zaczęło, gdy on powracał z za morza i klekotaniem witał swoje gniazdo, otwierało się okno w kancelaryi dziedzica, ukazywała się siwa głowa pana Macieja i rozlegał się tubalny głos, dźwięczący niekłamaną radością:

— Wojtek! jak się masz?

W ślad zatem przybiegały: żona, dzieci, zjawiał się także i stary ekonom, dzielił radość państwa i zażywając tabaczkę, roztrząsał z dziedzicem kwestyę orki i siewów wiosennych.

Dziś jakaś grobowa cisza panowała we dworze.

Bocian chodził po gnieździe jakiś osowiały, markotny. Tyle lądów i mórz przeleciał stęskniony, tak go coś do tej cichej wioski, do tych łąk, pól, wód i szumiących lasów ciągnęło, z taką radością opadł na gniazdo i czekał zwykłego pozdrowienia, a tu nic! Cisza, jakby ludzie wymarli!

Zatrzepotał skrzydłami, uniósł się w górę i począł krążyć nad wioską.

Wtem posłyszał głos z ziemi:

— Wojtuś! wojtuś!

Machnął żwawiej skrzydłami, przekręcił łebek i spostrzegł drobne pacholę, co biegło drogą przez wieś, klaskało w rączki i tak go radośnie witało.

— Wojtuś! Wojtuś!.. — zabrzmiało znów kilka głosów. To Kasie, Jagny i Maciusie złączyli się w jeden chór powitalny.

— Kajże on jest?.. — pytali starsi, zatrzymując pługi w polu i spoglądając w górę.

— Adyć nad lasem!... pokazywały dzieci.

— Może siądzie na sołtysowej topoli?.. robili przypuszczenia wieśniacy i, śmigając batami, orali dalej, pokrzykując wesoło na woły:

— Ocib granos! ksob łysy!

— Musi nasz — rozprawiały dzieci. Straśnie kołuje!

Tymczasam bocian po raz drugi opadł na gniazdo koło dworu i stanął na jednej nodze z miną skończonego filozofa. Zapewne chciał się doczekać jakiegoś znaku w siedzibie pana Macieja.

Jakoż niedługo zrobił się ruch i gwar we dworze: otworzyło się okno i wychyliła się z niego głowa.

Bocian poruszył się na gnieździe i zaklekotał.

— Ruchle! Salcie!.. rozległo się wołanie.

— Wus ist? Co jest?.. zaszwargotały żydówki, wychylając głowy.

— Patrzcie, bocian przyleciał!

— No, to co wielkiego?

— Ty Salcie nie rozumiesz tego, że on przyleciał pokłonić się mnie, obiwatelowi?...

— Chamy się powściekają od wielkic złość, zauważyła z dumą Ruchla.

— Niech popękają gałgany! Będą wiedzieć, co nawet dżyki ptak ma większy rozum od nich i wie, kogo potrzebuje uszanować we wsi.

— A jak uczeknie?

— Co ma uczeknąć? Trzeba go kazać w nocy złapić.

— I wipchacz to się postawi w papy salion, — zadecydowała z powagą córeczka.

— A zasię wam od niego!.. — przerwał familijną naradę, oburzony głos wyrostka wiejskiego, który aż tu za bocianem przybiegł.



...Rozbójstwo! gewałt! ludzie! szwiadki! chłopy! gońcie, łapcie:

Co ty tu gałgan w jaśnie pan ogród potrzebujesz robić?!...—krzyknął groźnie stary żyd.

— Zjedliśta naszego dziedzica, to i bociana może tyż zezryć chceta? Juści! niedoczekanie wasze!

— Poszedł ty łajdak!

— Pułdę, ale i bociana wam zabiorę.

To mówiąc, ze zwinnością kota, wdrapał się chłopak na drzewo, spłoszył oszołomionego „Wojtka“ i zrzucił gniazdo na ziemię.

— Rozbójstwo! gewałt! ludzie! szwiadki! chłopy! gońcie, łapcie tego złodzieja! — ryczał rozwścieczony dziedzic.

Nikt się jednak nie zjawił na to wezwanie; służba folwarczna pochowała się za węgły domów i dusząc się ze śmiechu, gestami zachęcała małego zucha do dzieła.

Ulżył sercu chłopak i wyłamawszy kołek z brony, cisnął nim w otwarte okno.

— Wypchejta go sobie i postawta w „salanie“ — krzyknął.

. . . .



Bocian krążył nadewsią do wieczora: opadał na łąki, to zrywał się znowu i szybował w górze, jakby rozważał poranną przygodę. Musiał zrozumieć intencye chłopaka, bo o zmierzchu siadał na gnieździe, które dlań sołtys przygotował na topoli.

— Wojtuś! Wojtuś! — powitała go gromada dzieci, otaczając wieńcem nowy bocinicc, starsi stanęli opodal i podziwiali osobliwszy rozum ptaka.

— Cichajta — zawołała sołtyska, dumna ze zwycięztwa odniesionego nad znienawidzonym przez włościan dworem. — Cichajta nie płoszta go! niech się obsiedzi, to i samkę sprowadzi!

— Sprowadzi! — powtórzyła z przekonaniem gromada. — Przecie i takiemu dał Pan Bóg rozum: wie za kim trzymać.

— Toć i dziedziców pies tyż do kowalów przystał, bo niechciał żydowi służyć -- zauważył któryś.

Bocian wyprostował się na gnieździe, rozchylił dziób jakby do uśmiechu i począł klekotać.

— Widzita, jak mu to nieborakowi między nami plaży — odezwały się uradowane głosy.

— A bocian klekotał długo, długo, jakby chciał gromadzie całej za gościnę podziękować i powiedzieć:

— Zrozumiałem was, dobrzy ludzie.



NOWY DZIEDZIC.

Szkic ze wsi.



Lajbówka strojna zielenią i białym kwieciem, kąpała się w złotych promieniach słońca. Roje pszczół brzęczały pracowicie, ptaszęta ćwierkały miłośnie, słowik rzewne wywodził tryle. Tak rzewne, że nawet bocian lustrując łąki, stanął, wyciągnął szyję i począł klekotać.

Byłby zapewne przeciągłem brawem uczcił szarego piewcę, lecz nagle spostrzegł olbrzymią żabę, skradającę się ku niezabudce, tonącej w objęciach barwnego motyla, skoczył więc zakochanej parze z pomocą, pochwycił żabsko i utopił ją w gardzieli.

Przyglądał się tej scenie dziedzic Lajbówki, pan Łapsgeld i kiwnął ręką na pastucha, pilnującego bydła.

— Filip, chodź no tu... zawołał.

Pastuch nadbiegł i pytającym wzrokiem obrzucił Łapsgelda.

— Widzisz? — odezwał się „dżedżyc", wskazując palcem na spacerującego Wojtka.

— Niby cóż?

— Tego rabuśnika...

— Bociona?

— Spędź mi tego gałgana, za co on moje szano gniecie...

— Kaj ze go spędzę, dyć mo skrzydła przecie...

— Idź do dworu i przynieś strzelbę, to zabijesz...

— Jo ta boćkowi krzywdy nijakiej nie zrobię, a zreśtą do tego się nie godziłem.

— Ja ci każę...

— Niech ta sobie pan dziedzic Jabramowi koże strzylać, bo jo pomsty Bożej nie będę ściągoł na siebie...

— Słuchaj, Filip, ty jeszcze bardzo głupi jesteś, kiedy bronisz takiego rabuśnika...

— Juści, u pana to wszystko rabuśniki, słowik też... co go pan dał zeźreć kotowi.

— Na co mi słowik?

— Niech by se śpiewał, kiej go Pan Bóg takiem śpiewem udarował, że się aż serce człowiekowi przekręca, jak zacznie wyciągać...

— Aj Filip, Filip... jakiś ty głupi ze szpiwanie!.. U mnie słowik, to jak krowa zacznie rykać albo koza beczyć... ja takie słowiki to bardzo lubię, bo to mliko daje, ale te szare ptaszysko to tylko w uchu wierczi i od tego piszczenia spać nie daje... Patrzno, Filip, co ta baba niesie?..

— Niech będzie pochwalony!..—odzywa się stara kobiecina, przechodząc mimo.

— Trafiłaś!..—mruknął pastuch, podchodząc do staruszki — dziedzic się pyta, co wy matko niesieta?..

— Trochę ziołów uzbierałam od frybry...

— Kto ci pozwolił urwać moje szano?..

— Dyć to, wielmozny panie, granicne...

— To gdzie masz plombę, pokaż zaraz,—pokpiwał Łapsgeld, rozwiązując z pastuchem płachtę babiny.

— Niech ta pan dziedzic daruję mi te trochę zielska...

— Połóż szano na rów i idź do djabła, a jak raz jeszcze poruchasz, to cię wsadzę na kryminał.

Starowina, mrucząc coś do siebie, wysypała z płachty zioła i odeszła ze spuszczoną głową ku domowi.



....Połóż szano na rów i idź do dyabła, a jak raz jeszcze poruchasz, to cię wsadzę na kryminał...

Łapsgeld pogładził brodę i zwrócił się do Filipa.

— Słuchaj, jak sze ona nazywa?..

— Rzepina.

— Pójdziesz do niej i powiesz, co by mi jutro przyszła to złodziejstwo odrobić w ogrodzie, bo będzie z nią źle...

— Uwożom; burknął pastuch oburzony i śmignąwszy batem, puścił się za babiną.

— Słuchaj, Filip, ty teraz idź do moich ludzi w lesie i zobacz, co te łajdaki tam tak cicho siedzą, za co oni nie rąbią?

Filip, wzdychając, pociągnął w stronę lasu, gdzie olbrzymie sosny padały pod razami ostrych siekier. Szedł i przeklinał, na czem świat stoi.

— O wy, psiawiary niechrzczone, jakeście Jezusicka umęczyli, tak i człeka gnębita. Trochę zielska mu szkodzi, bocion mu łąkę depce i słowik mu spać nie daje!

— Filip! Filip! zawołał po raz drugi Łapsgeld, a widząc bezowocne swoje wołanie, pogroził pastuchowi pięścią.

— Czekaj, łajdak, ja ci pokażę! oh, ta wiesz! ta wiesz! szedzi się tu jak na posiedlenie między te gałgany.



DZIEDZICZNOŚĆ.

Obrazek z natury.



A. P. Nachtsucher syn pochodził ze znanej rodziny Nachtsucherów, której członkowie pilnie byli notowani w kronikach policyjnych.

Dziad naszego bohatera miał osobliwszą słabość do koni. Słabość ta dziwnie się objawiała, gdyż chwytała go zawsze w nocy: zakradał się wtedy do cudzych stajni, wyprowadzał najpiękniejsze konie i pędził je zwykle za granicę, aby tam podziwiać swobodniej ich rasowość.

Namiętność ta, jak wszystkie namiętności, źle się skończyła, bo razu jednego, w czasie takiej wycieczki „ordynarne chłopy" za pomocą kijów wypędzili z niego złodziejskiego ducha. Dokonał pracowitego żywota, niech więc w ciszy spoczywa!...

Ojciec A. P. Nachtsuchera miał również różne niebezpieczne namiętności.

Obecnie podróżuje po Syberyi i oddaje się tam studyom geologicznym: kopie srebro czy złoto; zawsze za tem gonił, niechże sobie używa!..

Ostatni z tego rodu A. P. Nachtsucher syn, był bardzo wątły i delikatny, przeto unikał wszelkich ciężkich robót.

Choć dziad i ojciec wpajali w niego zasadę: drzyj goja, drzyj goja do siódmej skóry, on tego nie robił, darł tylko do szóstej!...

Przecież i dla drugiego żydka też trzeba coś zostawić!..

I byłby sobie spokojnie jadł kawałek chleba, gdyby nie to, że obdzierani zaczęli głośne podnosić krzyki.

Głupcy!.. mogli wołać po cichu, byłby im i piątą skórę zostawił!.. A tak z krzyku zrobił się hałas, z hałasu powstał gwałt, z gwałtu sąd i „nakazanie".

Co się dziwić?.. bo to sędzia zna takie interesa?.. On ich nic a nic nie rozumie, a sądzić musi, bo od tego jest sędzią.

Refleksye te urozmaiciły A. P. Nachtsucherowi kilkomiesięczny pobyt w okazałym gmachu, gdzie sprawiedliwość zwykła umieszczać ludzi odmiennego z nią zdania.

A. P. Nachtsucher nie znał bajek Krasickiego, a jednak zgadzał się najzupełniej z żółwiem, który przekładał nad pałace swój domek ciasny, ale własny, to też wypuszczony z więzienia, postanowił zlikwidować bankierskie interesy i założyć fabrykę.

Po długich a tajemnych konferencyach z zagranicą, doszedł do wniosku, że fabryka guzików będzie najodpowiedniejszą.

Na gwałt więc zaczął skupować stare maszyny i maszynki przeróżnego kształtu i wartości. Dobrał sobie kilku zaufanych fuszerów i puścił w ruch przedsiębiorstwo.

Rozsądniejsi kupcy w miasteczku kiwali poważnie głowami, przypuszczając, że A. P. Nachtsucher zwarjował, bo jakże człowiek przy zdrowych zmysłach będący, może zakładać interes i to perłowy, nie mając w tym kierunku żadnego fachowego wykształcenia!..

A jednak fabryka szła!...

Od rana do późnej nocy słychać było klekot i zgrzyt kół, który walczył o lepsze z klekotem roztrajkotanych omnibusów pocztowych, kursujących między Kutnem a Kaliszem.

Fabryka rosła, jak na drożdżach: codziennie zjawiały się masy interesantów, codziennie wysyłano większe i mniejsze paki wytwornie obrobionego towaru.

. . . .

Pewnego ranka dziwna wiadomość rozeszła się po mieście: u A. P. Nachtsuchera rewizya!..

— Co sze zrobiało?..—wykrzykiwano na ulicach.

— Szwarc!..—szeptali tajemniczo lepiej poinformowani.

Istotnie, fabryka A. P. Nachtsuchera uległa scisłej rewizyi.

— Paskudne ludzie!.. same głupstwa gadają!.. — usprawiedliwiał się zaskoczony,— przecież patent mam, maszyne tyż i ludzie tyż!.. Na co mi szwarc?!..

— No, zobaczymy!.. proszę pokazać, jak pan fabrykujesz guziki?...

— Jak?.. bardzo zwyciajnie! wsadzi się z jednej strony kawałek muszli i już gotowy guzik z drugiej strony wichodzi!..

— Proszę, zrób pan to...

A. P. Nachtsucher począł się śmiać nerwowo.

— Jabym dla pana nacielnik całkie dwa tuziny zrobił, ale sie ostatnie maszyne w ten tydzień zepsuło.

— Mamy ze sobą mechanika, może zaraz naprawić.

— To tylko zagraniczny potrafi.. ja już pisałam do niego!

— I ja sprobuję, może potrafię — odezwał się ekspert.

— Co pan gada! do tego trzeba specyaliste!..—upierał się żyd.

— Proszę, niech zbada konstrukcyę maszyn — rozkazał rewizor.

— Na co badać? Czy pan nie widzi odrazu, co to jest?— wtrącił A. P. Nachtsucher, pokazując mechanikowi nieznacznie storublówkę.

— Widzę, ale nie wezmę...

— Pięć — szepcze przerażony żyd.

— Jest ich siedem...

— Ny, niech będzie siedm, nawet całkie dziesięć — przystaje żyd, myśląc, że o setkach mowa.

— Pierwsza maszyna ma złamane ostrze, które można jednak scyzorykiem chwilowo zastąpić, zaczął ekspert.

— Do czego służy? — przerwał rewizor.

— Do strugania chrzanu w paseczki!

— Ja jej wcale nie używam! kupiałem ją na łycytacyi... oszukali mnie! — krzyczał żyd.

— Druga — informuje ekspert — służy do korkowania butelek. Trzecia i czwarta do obcinania papieru, piąta i szósta do wyciskania soków!

— Aj waj mir! aj waj mir! jakie pan nacielnik ziarty robi!

— Siódma — ciągnął dalej niewzruszony ekspert — jest więcej skomplikowaną... zaraz.. i z nią sobie poradzimy. Proszę o korbę od chrzanu... zła! Ta od soków się dopasuje. Jest! A teraz niech pan A. P. Nachtsucher sam raczy pokręcić.

— Ja nie chce kręcić! Ja się boję kręcić!.. bronił się żyd rozpaczliwie.

— Kręć, żydzie! — krzyknął groźnie rewizor.

A. P. Nachtsucher, oblany zimnym potem, ujął za korbę, pokręcił i — ku rozweseleniu wszystkich, z maszyny wyszły chrapliwe dźwięki, przypominające znaną melodyę z „Pięknej Heleny":

Jedź! jedź! jedź do Krety!

— Co to jest? — posypały się pytania,

— Stół grający w rodzaju katarynki — zadecydował ekspert, wstrzymując się od śmiechu.

. . . .

I znów A. P. Nachtsucher osiadł w okazałym budynku, gdzie sprawiedliwość zwykła umieszczać ludzi odmiennego z nią zdania, gdyż ciekawość, jaką fabryka rozbudziła w policyi, posunęła się do tego stopnia, iż przetrząśnięto całe mieszkanie przedsiębiorczego żydka, które, jak się okazało, było składem przemycanych towarów. Przy tej sposobności znaleziono również maszynki do podrabiania banknotów.

A. P. Nachtsucher utrzymywał, że są to jego pamiątki rodzinne, jednakże mu nie uwierzono.

I oto śladem ojca swego, A. P. Nachtsucher syn, ostatni z rodu Nachtsucherów, wysłany będzie w daleką podróż!

Dziedziczność ma swoje prawa!



MOSIEK.



Słońce wschodziło.

Z ukwieconych łąk i pól zalatywał świeży, aromatyczny wiaterek i ptaszki ćwierkały radośnie.

Boczną ścieżyną, prowadzącą wśród łanów zboża, szedł Mosiek, ubogi żydek. Na plecach dźwigał połatany worek.

Szedł sobie i nucił coś pod nosem; nucąc, zrywał, jakby od niechcenia, dojrzałe kłosy żyta i zręcznie chował je do worka.

Musiał już od świtu tak „pracować”, bo na nikłej twarzy jego i w ruchach znać było zmęczenie.

Mimo to na widok pola obsadzonego kartoflami, przyspieszył kroku, skręcił w najbujniejsze ziemniaki, postawił worek na ziemi i zawinąwszy rękawy, rozpoczął poszukiwania.

Ręce, zamienione w kopaczki, zwijały się szybko i przenosiły dorodne płody ziemi do worka.

Mosiek grzebał zawzięcie i mruczał, uśmiechając się złośliwie:

— Psza krew te chamy, jakie uny mają fein gatunki! Wczoraj to sze Maczejka z pod lasu pitała mnie, skąd ja mam takie szliczne żymniaki?

Skąd? Z miasta sobie sprowadzę — mówię — a una pokręciuła z głową i powiada, co zidki na wszystko są sposobne i kupiała u mnie dwa garnce... Aj waj! jaka ona głupia jest! Ze swojego pola kupuje kartofle; własne kartofle źre i pita sze, skąd?

Jakiś podejrzany szelest spłoszył Mośka, wymknął się więc chyłkiem z pola i przykucnął w rowie.

Na skręcie ukazało się bydło dworskie.

Gnał je na pastwisko stary Wojtek Pecyna.

Dostrzegł coś niezwykłego przed sobą i stanął.

Wśród kartofli leżał porzucony w pośpiechu przez Mośka, wypchany worek. Zaintrygowany Wojtek zdał opiekę nad bydłem Walkowi, który się wtajemniczał w pasanie bydła i towarzyszył staremu, a sam gwizdnąwszy na Burka, podszedł bliżej.

Zdumiał się na widok rozgrzebanych i powywracanych krzaków.

— Musi złodziej tu penetrował!... mruknął i podniósł worek. O!—zawołał—to ciężka psia jucha...—i począł badać jego zawartość.

— Żyto, jęczmień, groch, marchew tyż, zimnioki!.. Jezu słodki, na co mu koniczyna? A to psie nasienie i bobu naskubał... i gdzie on jest?.. — żeby go tak przyłapać, a dziedzicowi oddać! Burek szukaj!...

— Panie Wojczechu! panie Wojczechu! niech pan Wojczech psa złapi, to ja sam przyjdę!... doleciał go nagle płaczliwy głos z rowu.

— Toś to ty niekrzcony! — zawołał chłop radośnie i podbiegł do wystraszonego Mośka.

— Jesteś, Judaszu!.. Takiś to ty chwat?.; mało ci pańskiego, jeszcze w chłopskim gruncie ryjesz? Dawaj łapy...

— Co pan Wojciech sobie od moje łapy żąda?

— Zwiąże i dziedzicowi cię zaprowadzę...

— Na co robić taki krzyk i gewałt? Pan Wojczech taki porziądny i takie głupstwo chce zrobić, po co? — perswadował żyd.

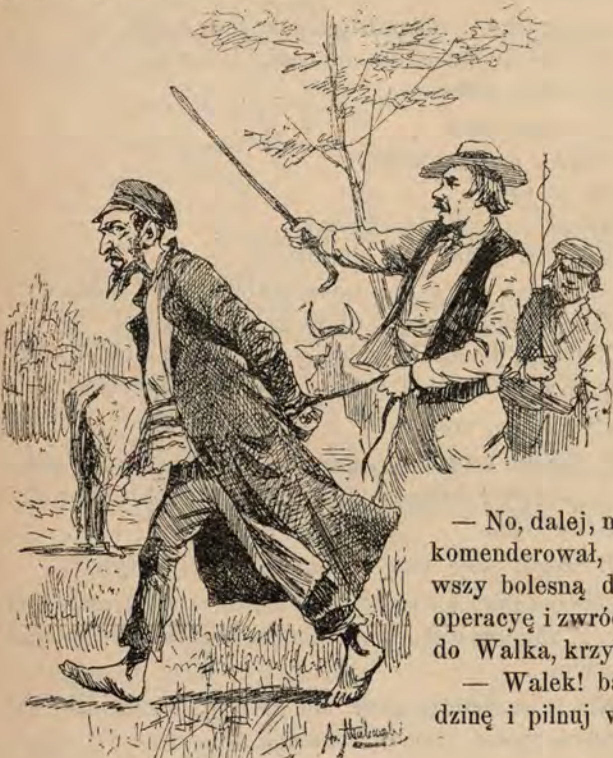
— Stul pysk i dawaj!..

— Ile mam dacz? — poderwał żyd pospiesznie.

Pecyna chwycił go za brodę i syknął przez zęby:

— Co ty niekrzcony scekos?

— Gewałt! co pan Wojczech robi? Ja bidny zidek jestem, ale ja mogę dacz... rubla, dwa... trzy... niech mnie pan Wojczech wipuszczy!



— No, dalej, marś!—zakomenderował, skończywszy bolesną dla Mośka operacyę i zwróciwszy się do Walka, krzyknął:

— Walek! bac na gadzinę i pilnuj worka.

— No, no!.. uspokoił go Walek.

Wojtek odsapnął i wywinąwszy młynka kijem, popędził żyda przed sobą.

We dworze ruch i życie.

Dziedzic obszedł już gospodarstwo i na drodze, do dworu prowadzącej, koło plebanii, zetknął się z proboszczem:

— Ho, ho! to dobrodziej ranny ptaszek — odezwał się wesoło do księdza.

— Ranny? Od godziny dopiero, kochasiu, kręcę się po swoich dobrach...

— I wszystko u dobrodzieja, jak w lusterku, co?

— Nie bardzo, kochasiu, nie bardzo!.. agrest mi w nocy oberwali i maliny połamane...

— Nie może być!

— Patrz... corpus delicti.

— Co to jest?

— Krymka, kochasiu... krymka...

— Więc to żydek się zakradł?

— Stary był, stary, bo i fajkę zgubił... patrz, kochasiu...

— Zgroza, dobrodzieju, co te gałgany broją!..

— Z biedy, kochasiu, z biedy... Ot, naprzykład, Mosiek... Piętnaście rubli ma całego majątku i żyć musi...

— Przecież to szewc...

— Z pozoru, kochasiu, z pozoru... dałem mu łatkę przyszyć, to ją przylepił i smołą wygładził... On taki szewc, kochasiu, jak ty i ja...

— Z czegóż więc żonę i ośmioro dzieci wyżywi?

— Radzi sobie, kochasiu, jak może: tu agrest... tam kłoski zboża, aby dzień zepchnąć. Bieda, kochasiu, do wszystkiego popchnie...

— Niech się zgodzi gdzie do roboty, niech idzie kamienie tłuc na szosie, choćby u mnie...

— Oj, to to, kochasiu, prawdę mówisz, muszę nawet posłać do niego... poradzę mu... Co robić, i jego Bóg stworzył, żyć musi...

Tak gawędząc, nie spostrzegli zbliżającego się do nich Pecyny ze związanym Mośkiem.

Żyd spuścił oczy i blady szedł, jakby na ścięcie.

— Niech będzie pochwalony!.. — rzucił Pecyna, zatrzymując się za plecami księdza proboszcza.

— Na wieki wieków amen... a skąd to Bóg prowadzi?.. — odezwał się ksiądz.

— Pecyna?.. co ty to robisz?.. — przerwał dziedzic zaintrygowany.

— Złodzieja chyciłem, panie...

— Kogo?... gdzie?...

— Adyć tego...

— Mośka?...

— Juści... zimnioki w polu grzeboł i zboże skuboł... Pełniuśki worek nagrabił..

— Panie dżedżycu... ja bidny żydek jestem. Mam żonę, oszem bachurków... — zapłakał żyd.

Proboszcz spojrzał wymownie na dziedzica i westchnął.

— Rozwiąż go i zostaw...

Pecyna się zawahał.

— Chłopskie tyż grabił, panie... — zaczął znowu.

— Zbadam to i za szkodę się ujmę, a ty idź do bydła.

— Dobrze, wielmożny panie...

— Wieczorem przyjdź...

Pecyna skłonił się, pocałował dziedzica w rękę, proboszcza także i uradowany wrócił do bydła.

Zostali sami z Mośkiem.

— Masz ty sumienie... — zaczął dziedzic — tak kraść i rabować wszystkich?...

— Człowieku, czy ty się pracy boisz?.. — dorzucił proboszcz.

— Panie ksiądz proboszcz... — załkał Mosiek -- ja bardzo bidny jestem... roboty nikaj znaliźć ni mogę... a żyć potrzebuję. Co ja mam robicz?.. co robicz?..

— Mało to chłopów znasz biedniejszych od siebie i głupszych, a radzą sobie, pracują uczciwie i żyją...

— Nie chce ci się, hultaju pracować!... a lekko żyć i nic nie robić, to wasze hasło!...

— Wielmożni panie dżedżycu, ja nie wim co to jest hasło, może to tak jest, jak pan dżedżyc mówi, ale skąd ja wezmę kawałek chlib?..

— Chcesz pracować, dam ci pracę, ale żyj uczciwie i nie kradnij!

— Jeżeli przyrzekniesz szczerą poprawę, to ci dzisiejsze przestępstwo dziedzic daruje — wtrącił proboszcz, spiesznie korzystając z nastroju kolatora.

— Karać nie będę, ale nie daruję, aż zobaczę zupełną poprawę.

— Wielmożny panie dżedżycu!.. wielmożny panie dżedżycu!.. wielmożny ksiądz proboszcz!. — szlochał Moszek, obejmując ich za nogi.

— Idź dziś do domu, a od jutra zgłosisz się do rządcy po robotę. Dam mu odpowiednie rozkazy.

— Pokornie pana dżedżyca dżękuję, niech pana dżedżyca Bóg winagrodzi i panią dżedżyczkę i pańskie dżeczy, na majątku i zdrowiu...—recytował żyd, pospiesznie zabierając się do odwrotu.

— A pamiętaj o siódmem przykazaniu!.. — dorzucił ksiądz.

— Głupie goje!.. — mruknął Mosiek i nagle urwał, jakby go coś ugryzło.

. . . .

Proboszcz uśmiechnął się dobrotliwie i ściskał kolatora za rękę.

— Dobrze, kochasiu, bardzo dobrze, zobaczysz co z niego będzie!...

— Żyda głaszcz, wilka chowaj, jednaką korzyść mieć będziesz... — przerwał dziedzic pesymistycznie.

— Co znowu!..

— We krwi to mają...

— Ja zaś, kochasiu, jestem zdania, że można ich przerobić...

— W jaki sposób, dobrodzieju, w jaki?.. Wieki na to pracują i poradzić i nie mogą!...

— Słuchaj, kochasiu... — zapalił się proboszcz — wieki pracują ale źle pracują!... Gdyby to było w mojej mocy, przedewszystkiem wyłowiłbym ich talmud i spalił. Sabat przeniósłbym na niedzielę, koszerne zniósł...

— Dobrodzieju! co za plany!.. co za śmiałe nadzieje!..— przerwał dziedzic, ściskając dłoń proboszcza na pożegnanie.



SŁOWIK.



Nie sądźcie łaskawi czytelnicy, abyśmy mieli zamiar uraczyć was studyum ornitologicznem. Słowik nasz nie ma nic wspólnego z szarym piewcą pól i lasów, postać jego przyodziana w zatłuszczony chałat, przydeptane pantofle i mniej dające się do opisu dalsze szczegóły tualetowe, zamieszkiwała w cichej wiosce nad Bzurą.

Słowik, noszący skromne imię Szlomy, zażywał szerokiej sławy, jako pachciarz, faktor, bankier i powiernik całej okolicy, a że posiadał dwa talizmany, otwierające mu wszystkie serca, mianowicie pieniądze i szwarcowaną wódkę, więc nic dziwnego, że go wszyscy potrzebowali i wszyscy byli mu radzi.

Pożyczali, dopożyczali, boć to zawsze przyjemniejsze, niż oddawanie i Szloma rósł w pierze, wysysając z ofiar swoich krew na podobieństwo upiora, prowadząc wielu do ruiny i nędzy.

Pośród przyjaciół miał przecież jednego wroga, a był nim pan Paweł Pieroński, dziedzic Suszygłówki.

Ilekroć Szlomie wypadła droga przez wieś pana Pawła, to stąpał z ostrożnością lisa, w potrzebie zbierał nogi i umykał przez pola z chyżością sarny.

Zdawało mu się wówczas, że słyszy za sobą tentent nosatej szkapy, którą Pieroński nabył od niego za grube pieniądze, lub ryk srokatej krowy, przyczynę ostatniego zatargu z panem Pawłem.

I grzmiał mu nad uchem stentorowy głos zaciekłego szlagona:

— Ha, *kondlu!*.. panie tego, gdzie jest to mleko, coś je tak u srokatej wychwalał?...



— Panie dżedżycu, panie dżedzycu, jo nie wim, gdzie sze podziało... może krowie zmięczone — odpowiada płaczliwe echo.

— Łżesz!... Ona wcale niema lustra mlecznego...

— Jakie lustro? na co lustro?... Czi to ona jakie panne, zeby sobie potrzebowała oglądacz?...

— Cyganie, łotrze!.. panie tego, nie wiesz, co to jest lustro mleczne?...—huczało echo, a Słowik zmykając, czuł jakby na jawie żylastą dłoń pana Pawła na sobie i widział owo lustro mleczne, wskazane mu poglądową metodą Pierońskiego.

— Ja mu nic złego nie życzę,—mawiał Szloma do Sury,—ale jak go dyabli wezmą, to się tyż nie będę martwił... miszlałem, co mi ten rozbójnik głowe ułamie.

Oprócz żony, miał Słowik drugiego powiernika, pana Bajdulskiego z Ciemnotki, przed nim swobodnie wylewał swe żale i rad krytykował Pierońskiego.

— Co to za obiwatel jest?... Co to za szlachcic?... Un sze z chłopami całuje, a te chamy, to same nie wiedzą, co są u niego.

— Przesadzasz, Szlomciu, jak Pana Boga kocham, przesadasz!..—przeczył Bajdulski, rad z okazyi, że się coś nowego dowie.

— Pan dżedzyc nie wierzy, co bim tak zdrów buł... Jak z te chamy potrzebuje sze który ozienić, to idzie do Pierońskiego z całe muzykie i potem prosi go na wieszele i wiczą̨ga łapę, żeby co dał...

— A on co na to?...

— Un sze popłacze... wiczą̨ga do nich dwie ręki, cosz zagada, potem każe im u szebie tańcować. Powiedz pan, czi to porządny obiwatel tak robi?.!.

— No... tak, hm, tego—chrząknął Bajdulski.

— Albo takie służbe, co un ma. Wczoraj, to ja sobie po czichu szłem przez łąkę, patrzę, pastuch od Pierońskiego pasie bidło, te srokate krowe tyż tam buło. Pan dżedzyc wi, że pastuch od bidło, to potrzebuje bicz dla krowe, jak

te karmiące matke od swoje rodzone dziecko, tymciasem, bidło sobie samo jadło, a un leżał i wi pan dżedzyc co robiuł?...

— Plótł koszyki...

— Jeszcze gorszy interes...

— Cóż takiego, powiedz, — niecierpliwił się Bajdulski.

— Un czitał książkę...

— Książkę!.. Rany Pańskie!.. — wykrzyknął przejęty zgrozą, dziedzic Ciemnotki.

— Słuchałesz pan takie rzecz, taki cham potrzebuje czitać książkę?...

— Koniec świata!... Chyba łżesz, Szlomciu...

— Ziebym tak zdrów bół!...

Szloma Słowik westchnął, Bajdulski załamał ręce i po długiem milczeniu postanowili wypowiedzieć wojnę Pierońskiemu.



WIGILIA.

Kopia z natury.

Drogą wiodącą do wsi, otulonej śnieżnym puchem zimy, sunęły z brzękiem sanie, zaprzężone w parę rączych koni.

Mróz był siarczysty.

Woźnica kręcił się na koźle, sapał i tarł rękami uszy, pomrukując:

— A to ci ziąb okrutny! Dzięki Bogu, że to już i Gwiazdówek, bo by człeka na nic zamroziło!

I rad, że dobił szczęśliwie do kresu, odsapnął raz jeszcze i skręcił w podwórze. Stanął przed stajnią, wygramolił się z sanek, podreptał koło koni, strzepnął rękami po bokach, niby kogut skrzydłami i począł wyprzęgać.

— Jędrek, czy to ty? — rozległ się ode dworu głos dziedzica.

— Jo wielmozny panie...

— A panicz?

— Nie przyjechoł... szukołem po całej stacyi, ale nikóg nie było.

— Trzeba było czekać na drugi pociąg...

— Kiej stacyjny pon perswadował, że ta kajsiś śnig maszynę zasypoł i kolej nie przyjdzie, aż jutro...

Rozmowę przerwał zatrwożony głos pani:

— Jakto! Stasia nie ma?

— Nie ma moje życie, komunikacja wstrzymana, pociągi z powodu śniegu stanęły w drodze.

— Boże mój!... chłopczysko się zaziębi!

— E, nie martw się, z pewnością na taki czas, Staś opóźnił swój wyjazd z Warszawy.

Matka nie dała się jednak przekonać i zalała się łzami, za nią w ślad poszła najmłodsza siostrzyczka Stasia, mała Lili. Stara gospodyni Wyjadalska, obecna rozmowie państwa, zaczęła kułakami łzy z oczu wyciskać i lamentowała płaczliwie.

— Biedactwo, tak lubi kluski z makiem!.. Ten szelma czarny kogut, niedarmo dziubał mnie znowu w nocy!

— Niech-no Wyjadalska nie wyjeżdża z tym kogutem — ofuknął ją pan.

— Sprawiedliwie, panie dziedzicu, widziałam go na własne oczy — upierała się stara.

— I mnie w nocy też coś skubało — poparła ją pokojówka Kasia.

Wyjadalska odwróciła się szybko i obrzuciwszy dziewczynę zjadliwym wzrokiem, syknęła:

— Stulisz ty gębę, kiedy starsi mówią! Widzicie ją! komu to tu!

Kasia zawstydzona wybiegła z pokoju, za nią podreptała zaperzona Wyjadalska.

— Mamusiu, Lili kce Stasia! — zaszlochała malutka.

— Cicho, cicho, Staś jutro przyjedzie — pocieszał ją ojciec.

. . . .

Stół wigilijny srebrzy się w potokach światła. Rodzice ze łzami w oczach spoglądają na puste miejsce za sto-

łem, gdzie miał zasiąść ich pierworodny. Mała Lili rozespana powtarza co chwila:

— Lili kce Stasia! Lili kce!

— Cicho no, cicho! — woła nagle matka, nasłuchując coś bacznie — zdaje mi się, że słyszę dzwonek...

— To wiatr, kochanko, gwiżdże w kominie.

— Nie, nie! to ktoś jedzie!

— Wiatr huczy. O! słyszysz?

— Nie, to dzwonek!

— Muszę się przekonać — rzecze mąż, podchodząc do okna. Otworzył lufcik. Cisza. Nagle do pokoju wpadł z wiatrem tuman śniegu, a za nim głos dzwonka dziń, dziń, dziń... i pokrzykiwanie woźnicy wi! ho!.. wi! ho!..

— Stasiek! — krzyknęła radośnie matka, zrywając się z krzesła.

— Lili kce Stasiek!—powtórzyło rozbudzone maleństwo. Przed dworem rozległo się ujadanie psów, zawtórował im wyżeł w pokoju, skacząc radośnie. Powstał gwar i zamęt, z pośród którego wybiegały oderwane wykrzykniki: Mamusiu! Stasiu! Ojcze! Długo, długo tuliła Stacha do piersi uszczęśliwiona matka. Ojciec stał i czekał swojej kolei... lecz nie wytrzymał, broda mu się trząść zaczęła, więc delikatnie odsunął żonę i sam pochwycił syna w objęcia.

— Lili tyż! Lili tyż buzi kce!—dopominała się maleńka. Wślad za paniczem, wtłoczył się do pokoju żyd, obładowany pakunkami.

— A ty zkąd? — chwyta go za biczysko Wyjadalska, rozpromieniona cała.

— Młodego pana przywiozłem — odpowiada, składając paczki na podłogę.

— Ty! ty przywiozłeś naszego panicza?!

— Ja.

— Pierwszy porządny żyd, jakiego w życiu swojem oglądam! Bóg że ci zapłać za moje kluski z makiem!.. krzyknęła piskliwie, obejmując oszołomionego żyda za szyję i obsypując go pocałunkami.

— Psieprosom, co to jest?! Co pani robi? Pani mnie całkiem zdusi! Co to za całowanie jest?!

— Widzicie go, jeszcze się broni, niechrzcony!.. A taki, nie darmo mnie kogut dziubał w nocy... i oto zrobiłam głupstwo! Ale co tam, żyd, czy poganin, musiałam ulżyć e[illegible]a!... Chodź na wódkę.

Wieczerza, smutnie zaczęta, w szczerej radości się zakończyła. Stasiowi usta się nie zamykały: każdemu z osobna i wszystkim razem musiał po kilkakroć powtarzać przygody z podróży. Mała Lili wdrapała mu się na kolana, gładziła go rączką po twarzy i wpatrując się w brata, jak w tęczę, rozpromieniona mrużyła oczy i wykręcała się do matki, szczebiocząc radośnie:

— Mamusiu!.. wąsi ma! On ma wąsi!..

A na brata uderzały ognie, tulił siostrzyczkę i nieznacznie zakręcał w górę delikatny puszek, — zapowiedź bujnego zarostu.

. . . .

W izbie czeladnej zabrzmiała pieśń radosna:

W żłobie leży, któż pobieży...

. . . .

.....kolendować małemu!..—podchwycił Staś dźwięcznym głosem. Ojciec zniknął tymczasem i po małej chwili donośny dzwonek wezwał rodzinę i domowników do choinki.

Żyd ciekawie wychylił głowę z kuchni i zdumionym wzrokiem spoglądał na jarzące się drzewko. Spostrzegł to dziedzic, podszedł ku niemu, wsunął mu rubla w rękę i rzekł:

— To za furmankę, a za to, żeś mi syna przywiózł, dostaniesz na kolendę cielaka.

— Pokornie wielmoznemu panu dziękuję, bardzo pokornie dziękuję!

Żyd raz jeszcze spojrzał na drzewko, ale jasność ztamtąd bijąca raziła go w oczy; zmrużył je, a po policzkach stoczyły się dwie łzy.

Wybiegł spiesznie ze dworu i położył się obok konia w stodole. Przewracał się z boku na bok i przysłuchiwał, jak we dworze państwo z czeladzią śpiewali:

Hej kolenda, kolenda!

Uparte łzy toczyły się jedna za drugą... lęk go jakiś ogarnął... zerwał się, wypchnął sanie z klepiska, wsiadł... już miał ruszać z kopyta, gdy wtem żałosny głos cielęcia odezwał się w oborze:

— Bee!.. bee!..

Żyd oprzytomniał, wjechał z powrotem do stodoły i zagrzebując się w słomie, mruknął:

— Niech sobie szpiwają... Ja zaczekam na cielę!



W SĄDZIE.

Kopia z natury.

Przybytek sprawiedliwości powoli zapełniał się ludźmi wszelkiego stanu.

Jedni skarżyć, drudzy świadczyć przyszli. Ogół nastrojony uroczyście, a już najuroczyściej wyglądają obwinieni. Skupiają się w gromadki, szepcą po cichu i raz po raz zasięgają rady stojącego na uboczu jegomości, który protekcyonalnie traktuje „klientów", zapewnia, że jeżeli sąd tylko będzie sprawiedliwy, to napewno sprawę wygraję.

— Prawdę pon Kręcielski godają—potakuje jakiś chłop — niech tylko sprawiedliwe sądy będą, to się i to bicie wyjaśni. Prawują mnie o bicie, a bicia nie było...

— Nie biliście mnie to? powiedzcie? jak macie sumienie...

— Biłem cię? a cóż to kijem abo batem cię prołem? Roz cię ino ręką wycionem...

— Juści, roz... nie oberwaliście to mi guzików? Wszyćko mnie opadło...

— A ty, łgarzu! był choć aby jeden guzicek? Jak Boga mi trza przy skonaniu, wszyćko miał na patycek ściągnięte.

— Taki aligant to mo różne sposoby — zauważył któryś.

— Z tą Wojciechową tyż potrzebna włócka po najwyższym sądzie — odzywa się markotnie jakaś kobiecina.

— Cegóz wołaliście na mnie „pruska świnia?"

— Ja cię tak nazywałam? ja?

— Nie pomstowałaś to przy żniwach, jakem Bartkowe dożynała, co? Świadkowie słyszeli, coś dokazywała i zeznają.

— Bodaj cie złe wytrzęsło, bodajeś tyle dni konała, ile moja kura, coś mi ją ukradła, miała piórek na sobie, jak ty prawdę godos—zaperzyła się baba słysząc o świadkach.

Spory rosły, coraz gwarniej zaczęło się robić, — lecz nagle jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaległa cisza.

We drzwiach ukazał się woźny. Znać po minie, że zaglądał już do butelki. Stanął, odchrząknął i odezwał się z powagą:

— Dali, chłopy!... chodźta się kłócić...

— Jak ty, błaźnie, gadasz? i do kogo mówisz?

Woźny zgiął się w pół i zmieniając ton, powtórzył ironicznie:

— Panowie, proszę na „szalę"!

* * *

Obszerna sala z trudnością pomieściła w sobie zebranych.

W końcu, za stołem, przykrytym zielonem suknem, zajął miejsce sędzia, po bokach dwóch ławników i pisarz sądowy.

Rozpoczynają od sprawy Mośka, oskarżonego o sprzedaż mięsa zepsutego.

— Dla czego sprzedawałeś zepsute mięso?..—zapytuje sędzia.

— To uno buło zepsute?..—dziwi się Mosiek.

— Nie pytaj, tylko odpowiadaj!.. dlaczego kupiłeś krowę zdechłą?...

— Ona buła zdechnięte?..

— Sołtys zawiadomił gminę, że padła na karbunkuł...

— Co on może wiedżecz, wielmożny panie sędże,—przerwał żyd i wzruszył pogardliwie ramionami.

— Świadków stawia...

— Co on może stawiacz?.. nawiży kufel zwietrzale piwo w karczmie.

— Tu żartów nie ma!.. Co masz na swoję obronę?...

— Wielmożny panie sędże!.. co może taki głupi cham wiedżecz?.. jak chłop może być mądry, jeżeli sze oni zawsze z pałką po łbie biją?.. Niech wielmożny pan sędże pita sze na mojego szwiadek.

— Co świadek w tej sprawie powie?...

— *Sug di ware, Icyk...* jak buło... On jest uściwy i bardzo mądry żid, on buł w Londynie i kaliskie gubernie i wszędzie buł, on to może prawdę powiedżecz...

— Proszę się uciszyć, świadek niech mówi.

— Kochany panie sędże,—rozpoczyna wystraszony „podróżnik"—ten sołtys to nie ma ziadne racye, to buła śliczna krówkie, *fein* gatunek!..

— Pan sędże słyszy?..—wtrąca Mosiek tryumfująco.

— Nie przerywać!.. Niech świadek zeznaje dalej...

— Te śliczne krówkie tylko troche buło zdechnięte, ale sze ruchała...

— *Halte pisk dy ferfluchter!...*—wrzasnął rozwścieczony Mosiek, częstując mądrego świadka kułakiem w bok.

— Widzis, godołem ci, strofuje go skarżący,—choć prostą drogą, to kulosa nie skręcis.

— Możecie gadacz, co wam sze podoba, ja mam swoje racye,—sprzecza się zdetonowany Mosiek.

— Będziesz mioł racye, jak słońce będzie wschodzić, kaj zachodzi.

— Uciszyć się!..

— Pan sędże naprawdę wierzy, co uni gadają?...

— Wobec niezbitych dowodów...

— Jakie dowody?... co za dowody?... dla czego nima aktu zejścia od te krowe?... Na wsistko potrzebuje bicz akt.

— Wyrok będzie ogłoszony.

— Co to może bicz za wyrok?..

— Wyjdźcie.

Mosiek zmarszył czoło i obrzucił groźnym wzrokiem sędziego. Jeden z ławników kiwa na woźnego:

— Wyprowadź go.

Woźny przystępuje do Mośka, ujmuje go za kołnierz i komenderuje.

— *Anc! fei! dre!* marś!...

— Co sze pan rzucisz?... Ja sam pójde — gniewa się żyd, wychodząc, a raczej wylatując z sali.

— Berek Kolektor, oskarżony o sprzedaż losów loteryjnych, czem się może usprawiedliwić?...—rozpoczyna sędzia drugą sprawę.

— Ja nie wim, o co chodży?... Mnie tu dawno nie buło, panie sędże.

— Nie ty, to twoja żona...

— To pan sędże zna moje Salcze?..

— Wojciech Dziechciarz!.. kto ci losy sprzedawał?...

— Niby on, najwyższy sądzie.

— Masz świadków wszystkich?

— Wszyćkie som, jeno Kaśki, Maćka, Jana i Jagaty nima, kajś poszli.

— Zawołać ich.

— Marcin Gamoń, o pobicie Katarzyny Wronek. Są świadkowie?...

— Wszyscy som, przenojświętsy sądzie—upewnia pokrzywdzona.



...Co sze pan rzucisz?... Ja sam pójde — gniewa się żyd.

— Biłeś ją?... mów po prawdzie, bo wykręty na nic się nie zdadzą,

— Jakto, ja jej wujek i chrzesny miołem ją bić, najświetszy sądzie?...

— Przeproś ją...

— Jo story człowiek będę ją przeprosoł?..

— Pogódźcie się...

— Niech me przeprosi, jak bił, to się zgodze...

— Wujek i chrzesny jej jestem, siedzą u mnie w chałupie i na mojem grońcie, z lasu mojego postawili se obórke, on i ona młode, jak capy... jo by ich bił?.. stary człowiek?.. Boże święty, adyć by mnie oni na śmierć skatowali...

— Nie krzyczeliście to, powiedźcie: prec mi z grońtu?... I cegoście chcieli?... nieprzyśliście do izby z kijem, aż dzieci wrzescały i nie wycieniście mnie to trzy razy?...

— Nikt nie widzioł...

— Pan Jezus wszyćko widział.

— Wysoki sądzie, wtrąca mąż pokrzywdzonej, za łeb ją wzion, włóczył po izbie i prał!...

— A bo mnie za psa nie mają, przenajświętszy sądzie, wyrwało się oskarżonemu.

— Więc ją biłeś?...

— A no, jeżdżą po mnie i jeżdżą, to mnie boleść wziena...

— Przeproście się...

— Jo się ta na przenajświętszy sąd zdaje, upiera się kobieta.

— Daruj mi, jo cię na rękch nosiłem, wychowałem... odzywa się stary markotnie,—podchodząc ku niej.

— Nieboscka w niebie patrzy na moję krzywdę!..

— Toś ty sierota?..—zapytuje sądzia.

— Toć mnie chrzesny chowoł i ożenił...

— I włóczysz go za to po sądach? Że się trochę uniósł za brak szacunku dla siebie starego i uderzył, to go sąd ma skarać? Zastanów się, kobieto! Duch twojej matki i twego ojca widzi serce opiekuna i chrzesnego, wychował cię, ożenił, dał ci byt i szczęście...

— Toć chrzesny ojcem i matką był zawdy — szlocha kobieta.

— Uściwy stary jest—wtóruje mąż.

— Swoich dzieci nie miołem, to chciołem, zebyśta wy mi ocy zawarli—rozrzewnia się oskarżony.

— Pogódźcie się, zachęca ich sędzia.

— Niech ta będzie i zgoda!...—wykrzykują wszyscy razem i płacząc padają sobie w objęcia.

Sędzia mruga nerwowo i obciera nibyto nos chustką, Pisarz podsuwa Gamoniowi pióro i podaje papier.

— Podpisać się tu.

— Mój panicku, odzywa się chłop, składając ręce, jo tego nie naucony, cepiskiem to ta jesce...

— Dotknijcie się więc piórem i wy Katarzyno także.

Po chwili cała „familija" wychodzi z sądu, trzymając się za ręce.

W sieni zaczepia ich Moszek.

— Ny, jakże poszło, wyście tyż przegrali? Mówiłem wam, że trzeba szwiadki wrząszcz, wódki kupicz i dacz im co zjeszcz, żeby porżądnie gadali, a wy co?

— Posed parchu, burzycielu!... bez ciebie ino wstyd i obraza boska!...—krzyknęli pogodzeni.

— Głupie chamy!... — mruknął żyd, odchodząc — jakbyszcie chczeli wsistkie zić jak bracia, to co ja bim na te paskudne wiesz robiuł?...

I splunąwszy poszedł wysłuchać wyroku w swojej sprawie. Nie wiodło mu się dzisiaj.

— Posiedzicie se Mośku za to mięso?—podrwiwali chłopi.

— Ny, wielka rzecz?... raz na sto, mogę troche uszążć, ale ja bedę miał pinjądze, a wy bedżecze gołe jak biki!...

Spotkanie.

Korzystając z dnia pogodnego, wybrał się pan Maciej *„per pedes”* w odwiedziny do sąsiada. Idąc, rozglądał się po polach, śnięgiem okrytych i musiało go cieszyć jasne słonko wiodące cichą walkę z przymrozkiem, bo szedł śmiało, pełen błogiego wesela.



Nagle drgnął, usłyszawszy turkot bryczki.

— Ki djabeł za mną się wlecze? — mrukał, schodząc przezornie z drogi. Obejrzał się i splunął, spostrzegł bowiem Chaimka, faktora, bankiera i żywą kronikę całej okolicy, który powoził w jednego konia i siedział na kupie porządnie wypchanych worków.

Zapewne były to dodatki do procentów od wypożyczonych kapitałów, pozbierane z różnych dworów, gdyż każdy worek był odmiennego kształtu.

Chaimek, zrównawszy się z panem Maciejem, zdjął pospiesznie czapkę i przemówił, kłaniając się nizko:

— Co ja widzę! pan dżedżyc z piechotą? Może pan dżedżyc pozwoli uszązcz na moje brykie?

Pan Maciej, zatwardziały antisemita, chcąc się pozbyć natręta, palnął mu w odpowiedzi:

— Nigdy na wózku żydowskim nie jeździłem, więc i teraz uprzejmie dziękuję!

— Ny! ny! to mnie mocno dżywuje! — ciągnął Chaimek niezrażony.

— Szczęśliwy jesteś, że się możesz dziwić! Mnie to nic nie dziwi, nawet twoja uprzejmość!

Chaimek spojrzał zezem na żydożercę i spróbował z innej beczki.

— Taki pan, jak pan dżedżyc, to może nosić głowę wisoko; ja biedny żidek, potrzebuje się zawsze kłaniać nisko!

— Pomaga ci to w szacherkach!

— Siacherkę? — zadziwił się Chaimek — gdzie to pan dżedżyc widział moją siacherkę?

— A choćby z lasem Szałapuckiego!

— Z lasem? To buł bardzo lichy interes! Las buł przestany i zgnity!

— Jednakże rozprzedałeś go chłopom na małe działki zarabiając sto za sto!

— Jak sianuje pana dżedżyca, bardzo wiele straciułem!

— Mnie tam aby oczów nie zamydlisz! obdarłeś chłopów, że aż wstyd i hańba!

— Ja nie wiem co jest większy wstyd? — oburknął się Chaimek — czy to, że taki ordynarny cham ma teraz swoją własność, czy że on chodził do cudzego lasu, kradł drzewo, a potem w kozie potrzebował siedzieć?

— Bardzo mądrze dowodzisz—zauważył z ironią pan Maciej — dlatego ci też brak chyba ptasiego mleka.

— Ja nie lubię ptasie mliko! ja kontentny jestem z obiwatelskie; ono ma całkiem dobry smak! — roześmiał się dwuznacznie Chaimek.

Pan Maciej chrząknął głośno, co bywało u niego zwykle oznaką złego humoru, splunął zamaszyście i rzekł po chwili:

— No, ale teraz lichwiarzy krótko wzięli!

— Wielki strach! Trochę się więcej zrobiało kłopotu.

— Nie boicie się rozbijać?

— Panie dżedżycu! — wykrzyknął urażony Chaimek— kto kogo rozbija? Czy to kto słuchał kiedy, żeby ludzie sami chodzili szukać rozbójniki? Jak jeden, drugi, dziesiąty potrzebuje pieniędzy, to przychodzi do żidka, robi się słodki, jak karmelek, mówi że jest bardzo bidny, płacze, łamie ręki, robi wzdychanie, a prosi pieniędzy, bo on je bardzo potrzebuje. Powiada, co mu zione, albo dzieci, albo jakie bidło bardzo chore jest! Czy to można nie wygodzić takiemu?

— Na gruby procent!

— Prawda, bierze się gruby procent, ale nie od kapitał!

— Za cóż więc?

— Ciasem są takie honorowe ludzie, co wezmą, nie oddadzą, wymyślają i jeszcze coś gorszego robią! Więc się bierze za krzyknięcie, kopnięcie, plunięcie, wipchnięcie i różne inne antysemickie gwałty,

— Toś ty stary praktyk na to!—przerwał pan Maciej.

— Ja to słuchałem od żidków—zaoponował spiesznie Chaimek.

— Wszyscyście jednacy i wszystko robicie po szachrajsku. Ot, naprzykład krewniak twój, wziął w antrepryzę budowę fabryki w Bzikowie i jeszcze nie skończył, a już się wali!..

— Ny, co to panu dziedżycowi szkodzi? niech się wali, byle odebrali!... Przecie i całki świat jest mocny, a tyż się kiedyś zawali!

— Ślicznie mówisz! ale uważasz, Chaimku, świat się prędko nie zawali, tembardziej, że wam nie pozwalają na nim brykać i coraz skuteczniej dają sobie z wami radę.

— I to wszystko się skończy!...

— Ciesz się!... Zawsze jednak radzę ci nie wojować!..

— To pan dżedżyc miszli, co żidki boją się z te wojne?.. To buło, jest i będzie!.. Komu nie chcą dać rubla, to się robi z niego antisemitnik; niech mu tylko pokażą papierek, to un zaraz inaczej gada i psijacieli się z żidkami i chwali ich. Ziebym ja miał tyle zdrowia, co mi już różne ludzie za rubla nagadali!..

— Ha! — westchnął pan Maciej — różni ludzie są na świecie!.. Większość jednak uczciwiej na świat patrzy i szanuje swoje przekonania!...

— Psiekonanie — to głupie gadanie!.. Oni niech sobie się bawią, a żidki robić będą swoje!.. Kto ma pieniądze, ten jest mądry i ma psiekonanie! a kto bidny ten jest głupi i niech cicho siedzi i prosi Pana Boga o zmiłowanie!...

— A czy ty wiesz, co to jest prosić Pana Boga o zmiłowanie nad sobą?.. Ty, który biedne wdowy i sieroty z mienia wyzuwasz, co krzywoprzysięstwem, oszukaństwem i lichwą dorabiasz się majątku?..

Wybuch pana Macieja przestraszył Chaimka, cmoknął na konia, podciął go batem i ruszył śpiesznie, zostawiając za sobą paskudnego antisemitnika.

Pan Maciej, jak sum, ruszał wąsami i nagle wybuchnął wesołym śmiechem, bo wiatr przyniósł mu pożegnanie Chaimka:

— *A schlag soł dich treffen!...*

— Tom ci dogodził, oszuście! — powtórzył kilkakrotnie — będziesz unikał na drugi raz spotkania ze mną!...

Dojna krowa.



Icek Finkerl miał jedną wielką słabość:

Lubił bydłem handlować!

Włóczył się po jarmarkach z okazami godnemi właściciela, które chudością i brudem odstraszały nabywców.

— Co to szkodzi, że są chude, za to mają tłuste mliko, a brudne to one nie są wcale, to już taki *echt* gatunek — zapewniał Icek interesowanych.

Było to na jednym z większych jarmarków. Icek sprzedał już dwie krowy, pozostała mu jeszcze jedna, mała zbiedzona, zwyczajna chłopska krowina, lecz o niezwykle dużem wymieniu.

— Panowie i godne osoby! — wołał Finkerl — to jest krowa, jakiej nigdzie nie buło, mało źre, a dużo mlika daje! To jest *fein* gatunek, osobliwoszcz! mame od te szli-

cne krówkie buło troche *szwic*, a tate całkiem holenderski! *auf meine munes...* Co una ma za wymieńcze! takiego wymieńcza jak una ma, nikt nie miał na cały szwiat! A co tam jest za mliko! i słodkie i kwaszne i ser i szmietane i różne dełycye!

Ludziska kiwali głowami, niektórzy pootwierali gęby z podziwu.

— Jagna — szepnął chłop, z boku stojący do baby, pożerającej wzrokiem osobliwszą krowę, — Jagna, możeby tak te gadzinę kupić...

— Musi droga będzie — westchnęła baba.

— Pytaj...

— Dużoż to, Icku, chceta za krowinę?

— Krowinę? — przeciągnął żyd — przecie to cała krowa jest!.. Organista z Łykałki dawał mi trzydzieszczy papierków... Ona mie samego trzydzieszczy oszem...

— Za ile? — powtórzył markotnie chłop, słysząc takie summy.

— Jak brat bratu, żeby nie zełgać, oddam pani Agacze za trzydzieszczy dżewięć!.. Potrzebuje przecie rubla zarobicz, prawda pani Agato? — zwrócił się z galanteryą Feinkerl do baby.

— Juści, przez zarobku trudno, ale mnie się widzi, co wy, Icku, cyganicie...

— Co pani Agata mówi? Mnie cały powiat zna, żebym tak zdrów buł...

— Oj, zna cię, zna szachraju jeden! — wpadł nagle głos ze środka zebranych i za nim, ukazał się pan Dratewka, generalny opiekun nóg chłopskich i odcisków.

— Co to jest: szachraju? — zaperzył się Feinkerl — pilnuj pan swoje kopito, tu nie potrzebujesz nos wetknącz...

— Ludzie! jak mego patrona kocham, nie kupujcie krowy od niego!...

— Bez cóż tak? — zagabnął podejrzliwie chłop.

— Lacego? — odezwała się, jak echo baba.

— Zaraz się to pokaże—ciągnął Dratewka, zmierzając ku krowie.



— Co sze pokaże! gdzie sze pokaże! – wrzasnął żyd, zastępując szewcowi drogę.

— Na bok—żydzie, bo szewc idzie!—huknął basem pijany Dratewka.

— Niech wszistkie kopita, dżurawe buty i zgniłe skóry idą, to dla nich tu nima drogi! — krzyczał żyd, zasłaniając chałatem krowę.

— E, won do dyabła! pókim grzeczny! — syknął szewc, chwytając żyda za bary i wywijając z nim młynka.

— Gewałt! rozbój! policya! — darł się Feinkerl, uwięziony w tłumie ciekawej i rozbawionej gawiedzi.

Tymczasem Dratewka obejrzał uważnie potulnie stojące bydlę, dobrał mu się do ogona i pociągnąwszy lekko, podniósł rękę w górę.

— Patrzcie! — zawołał.

— Jagna! widzisz? — szepnął chłop.

— Widzę...

— Co to jest?

— Juści ogon...

— To nie ogon — objaśnia z tryumfem Dratewka — to jest prawdziwy kołtun żydowski.

— Bójta się Boga! — rozlegają się zdumione głosy.

— A wymię... wymię, jak mego patrona kocham, wydmuchane...

— Jagna?... — zaczął znowu chłop.

— Co?

— Słyszysz?

— Juści słysę...

— To ci niekrzcony!..

— Pieska dusza!..

— Do magistratu z nim — zadecydował Dratewka, ciągnąc krowę za sobą.

— Do magistratu! — powtórzyli słuchacze i popychając oszołomionego Feinkerla, kułakowali go przez drogą.

W magistracie toczyły się już rozmaite spory. Jakiś wieśniak przyłapał małego żydziaka na kradzieży gęsi; żydówkę przyprowadzili z fałszywą śmietanką, to znowu pies golibrody wypił jakiejś babie mleko. Chłopi przyprowadzili psa i jego pana; pod nogami, skowycząc plątała się jakaś inna psina. Zgiełk i rejwach.

— Dlaczego psa nie zamkniesz albo nie uwiążesz? — pyta golibrody surowo burmistrz.

— Wielmożny panie *Preśdeńcze*, to nie mój pies.

— U ciebie był i tam go złapali...

— Nu, co ja za to mogę? un przychodzi ze świata, un to robi z kochania... un sze kochał bardzo w moje suczke, co przez tamten rok zdechło...

— Baran! wyrzuć go za drzwi! — rozkazał burmistrz woźnemu.

Pachołek miejski z zadziwiającą zręcznością wziął się do wypełnienia rozkazu, gdy nagle otworzyły się drzwi i wpadł Dratewka

— Oszustwo panie burmistrzu! ujawnione oszustwo i stwierdzone przez świadków!...

— Co się stało?

— Feinkerl, ten sam, co mnie tak podle orżnął w przeszłym roku, znowu sie zjawił z fałszywą krową na jarmarku, jak mego patro...

— Dać go tu! — przerwał ojciec miasta.

Dratewka skoczył po Icka i za chwilę wciągnął go do kancelaryi. Za nimi wtłoczył się tłum.

— Baran! porządek! — krzyknął pan burmistrz

Woźny zawinął się szybko z przybyłymi, zostali tylko główni świadkowie, żyd i Dratewka.

Spisano protokuł i zatrzymano Icka i krowę.

Eksperci i weterynarz, stwierdzili podpisami oskarżenie Dratewki, jako ogon krowy był fałszywy, wymię szpikulcem przekłóte, wydmuchane i spuchnięte.

Sprawę oddano do sądu.

Icek z wyroku jednogłośnego, skazany został na dłuższy wypoczynek w więzieniu. Ujawniono mu bowiem i udowodniono wiele innych nieczystych sprawek, siedział więc i rozmyślał nad marnościami tego świata.

— Co to szkodzi — dumał — że mnie poprosili trochę siedzieć, ale za co bidne żidki, wszyscy, nawet szewcy prześladują!



BANKRUT.

Obrazek z natury.



Zrobił tak: jakiś czas handlował za gotówkę mąką i zbożem, powoli wyrabiał sobie kredyt i opinię solidnego kupca, zaczął więc sprowadzać całemi wagonami wszelkiego rodzaju produkty, wchodzące w zakres jego specyalności.

Pewnego dnia pięknego, Salomon Filut (tak się nazywał nasz bohater), powiedział sobie:

— Dosyć!..

Zamknął się w kantorze i razem z Mośkiem, przyjacielem swoim i prawą ręką we wszystkich operacyach handlowych, poczęli coś zapamiętale obliczać.

— *Wie meinste?* (jak myślisz). Można już?... — rzucił dwa pytania Salomon Filut przyjacielowi, gdy skończyli obrachunki.

— Ja myślę, co już wielki czas!.. — odpowiedział przekonaniem Mosiek.

— Słuchaj!... ponowił uroczyście Filut—ja czebie robię głównym opiekunem mojej upadłości...

— Co ja na tem zarobię?...

— Dziesięć procent....

— Mało....

— Mało?... — krzyknął Filut, zrywając się od stołu.

— Na co robisz krzyk?...—zaczął z flegmą Mosiek—ja tego nie lubię i żaden złodziej tyż nie jestem... dasz mi dwadzieścia procent, to będzie zgoda!...

Filut pozieleniał ze złości, lecz wobec wiszącej burzy nad głową, przystał na dwadzieścia procent, tem bardziej, że drugiego takiego szachraja, jak Mosiek, nie znalazłby w miasteczku.

Spisali odpowiednią umowę i — rozdarłszy szaty na znak wielkiej żałoby, wyszli obaj do miasta, podzielić się wiadomością o bardzo wielkiem nieszczęściu, jakie dotknęło solidny dom handlowy Salomona Filuta.

— Ratujcie mnie!...—wołał rozpaczliwie Salomon Filut—bo zginę ja, zginie moja żona i małe bachurki!..

— Ratujcie go!...—powtarzał jak echo Mosiek—bo go całkiem dyabli wezmą!...

— Ten i ów poszwargotał coś tajemniczo z Filutem, inny zrobił „takie gadanie, co sze aż woda z oka wiliwała", wszyscy solidarnie pokrzepiali go na duchu, ściskali za ręce i powtarzali:

— Ty się nie bój, będzie git!...

Salomon Filut, z sercem przepełnionem wdzięcznością, powrócił do domu, wtajemniczył żonę w swoje plany, pogłaskał bachurki na dowód wielkiej miłości ojcowskiej i zasiadł do napisania listu, który brzmiał, jak następuje:

Kochany Panie Rejent!...

Wielgie nieścięście! paskudne wipadki! Jestem pozarywany przez nie honorowych ludzi... wszyscy mnie opuścili, Mosiek to poświadczy... Jadę wiszukać pieniądze, a tymczasem zostawiam panie rejencze moje ziome, bachurki, kase trwałe od ogień, klucie i padam do nogi.

Salomon Filut.

Po skreśleniu słów powyższych, wstał od stołu, odłożył pióro, przeczytał kilkakrotnie to, co napisał i odetchnął pełen zadowolenia. Następnie otworzył kasę ogniotrwałą, wybrał z niej wszystką gotówkę wraz z cenniejszemi papierami, poczem zamknął ją staranie i klucz razem z listem odesłał regentowi, przez zaufanego Mośka.

. . . .

Od wczesnego ranka, zaczęto sobie szeptać w miasteczku, iż Salomon Filut przepadł bez wieści

— Co sze zrobiało?...

— Zbanchrocił.

— *A soj?...*

— Ciu, ciu!.. cmokali inni, *er hat aber gite kepeł* (ma dobry łeb).

— I nogi tyż...

— Co tam z nogi!.. głowa fundament, chociaż na górze jest, zawsze fundament!...

— Może to nie prawda?...—powątpiewał inny.

— Prawda jest! jak ja czi powiadam, że prawda, to ty mi potrzebujesz wierzyć.... Przecież całą noc wozili jego mąkę po wszystkich sklepach.

— Nie wida się ten interes?...

— Co sze ma widać!... To sze mądrze zrobiało: każdy kupiec zarobił po dwa ruble na worek mąki i furmany tyż dostały po cztery papierki za zwózkę, to będą wszyscy czycho siedziały....

— *A gite geszeft!...*—westchnął młody żydek.

— Samo złoto!... — dorzucił drugi.

— *Aj waj!* jakie wy gałgany—przerwał im Mosiek, który stał na uboczu, bacznie nadsłuchując, co mówią o Filucie.—To wasze gadanie, to jest wielkie łajdactwo!...

— Za co tak?... zdziwili się młodzi.

— Bez tego, co może kto podsłuchać i zanieść tam, gdzie nie potrzeba.

Żydzi z przerażeniem obejrzeli się do koła, a Mosiek prawił dalej:



— Może to nie prawda?

— Prawda jest! Jak ja czi powiadam, że prawda — to ty potrzebujesz wierzyc...

— Salomon jest biedny i bardzo uczciwy żydek, drugi się taki nie trafi na cały świat, a jaki honorny! *aj waj!* on sobie może z tego zmartwienie utopić, albo się powiesić, albo całkiem zastrzelić!... Czy który z was stracił u niego choć jeden rubel?... Nie!... Żebym ja miał tyle bolączków, ile groszy on wam dał zarobić!... — dokończył z mocą.

— To prawda jest!...—przyznali słuchacze.

— On handlował tylko z gojami — ciągnął dalej żarliwy obrońca Filuta—a taki interes bardzo ciężki jest. Jak wy teraz będziecie robić krzyk i głupie gadanie; to całki grosz biednego żydka dyabli wezmą i was razem tyż. Można wszystko gadać i robić, ale po czichu, ostrożnie i delikatnie. Trochę się zapłaczi, trochę poczekają, trochę podarują, bo katołyki miłosierne ludzie są i znów Salomon Filut będzie mógł uczciwie handlować i my razem z nim!...

— *Er hat recht!...*—wykrzyknęli chórem żydzi.

— Tylko *stil!* kaganiec na gębie i czycho!...—przestrzegał Mosiek.

— Czycho!... tak czycho!...—powtórzyli zebrani i rozeszli się do swoich zajęć.

. . . .

Mosiek zajął się interesami Filuta z wielką energią: jednych błagał, drugim obiecywał, z trzecimi się od ręki układał — dość, że niedługo potem pisał do niego.

„*Ales git!* pan rejencze tyż *git!* tylko ten młynarz Pytelski bardzo szczeka!... (Niech on już raz dyabłu buty szyje). Powiedział, że ci wszystko wydrze!... Co on ci może zrobić?... Niech on sobie ze łba włosy wydrze, niech on sobie utopi w te szumiące wode, co jego młyn obraca!... To stary szachraj jest!...

„Ja myszlę, co ty już możesz sam przyjechać... i t. d."

Salomon Filut po odebraniu tego listu, powrócił do miasta; żydzi przyjmowali go jak bohatera, zrobili mu owacyę i w tryumfie zaprowadzili do zapłakanej Sary.

Lepiej wtajemniczeni dawali mu rady i szeptali:

— Teraz chowaj wszystko dobrze, nic nie pokazuj!...

A Filut z niewinną miną, kiwał głową i wzdychał.

Układy z wierzycielami wypadły nader pomyślnie, jeden tylko Pytelski twardo się trzymał i nic ustąpić nie chciał.

Filut przysięgał, że więcej nad dwadzieścia pięć procent dać mu nie może, że jest całkiem biedny i nieszczęśliwy.....

Pytelski na wszystkie jego zaklęcia odpowiadał:

— Łżesz, synu lucypera!...

Żyd jęczał, płakał, wysyłał do niego żonę, dzieci, aż dopiął swego.

Pytelski ustąpił.

— A może to szelmostwo naprawdę zbankrutowało!...— pomyślał, gdy wszedł do kantoru Filuta, nad którym obecnie figurowała firma jego żony.

— To jest pan, co bidnego żydka nie chce zgubić!... To jest pan i... jeszcze coś lepszego!...—wykrzykiwał Filut, podsuwając mu do podpisania pokwitowanie z pretensyj.

— Pal cię dyabli!... mówił Pytelski, poglaskany w swej dumie i zamaszyście podpisał podany mu papier.

— Niech wielmożnemu panu Pan Bóg na zdrowiu i majątku to winagrodzi—szlochała Sara, zasłaniając suche oczy fartuchem.

Rozrzewniony Filut przysięgał dwuznacznie, że Pytelskiego nigdy żydki nie opuszczą, a Pytelski po uregulowaniu rachunków, ofiarował bachurkom po dysce na pierniki i wyniósł się, rad z ustępstwa, które bliźniemu uczynił.

Filut po wyjściu goja odetchnął naprawdę i zwrócił się do Sary:

— Te katołyki, to bardzo miłosierne ludzie są. Z tem co uni nam zostawili, możemy znowu za parę lat zrobić „*fein* zbankrutowanie!...”

TELEGRAM.

Obrazek z natury.

Do kancelaryi pana rządcy w Psich Dołkach wbiegł zadyszany chłopak i wymachując papierem trzymanym w ręku, zawołał:

— Proszę pana rzońcy, kaligraf z Warsiawy od jaśnie pana!...

— Połóż na stole i nie krzycz — odezwał się z flegmą rządca.

— Kiej śtafeta stoi na dworze...

— Niech sobie stoi, a ty się wynoś do stu par dyabłów!...

— Uwożom — mruknął ofuknięty chłopak z godnością.

Pan rządca, zostawszy sam, rozpieczętował depeszę i przeczytał.

Psie-Dołki.
Snopkowskiemu.
Przysłać dwieście albo trzysta!...
Putalski.

Lakoniczny, a jednak wielce wymowny telegram, wzburzył niepomiernie Snopkowskiego.

Zgniótł niewinny papier w ręku, cisnął go z impetem o podłogę, a dając już zupełną folgę uniesieniu, kopnął go nogą i opluł.

— A to idyota! podlec! infamis!... syknął przez zęby. I śle małpa po pieniądze, a tu najem niezapłacony, sekwestratora za podatki tylko co patrzeć!... Inwentarz zdycha z głodu!... Nie! on chyba zwaryował!...

— Na co ta bestya traci?... Przecież nie na konkury.... Która by go tam chciała?... goły jak bizun... głupi jak stołowe nogi...

— Coś w tem jest!...—ciągnął po małym przestanku. — Czwarty raz żąda pieniędzy i zkąd ich wezmę?... Co sprzedam?... Gdzie pożyczę?...

— Po co u dyabła ja tu siedzę?... Kopicki gwałtem mnie ciągnie do siebie. Pójdę, jak Boga pragnę przy skonaniu; pójdę — westchnął płaczliwie. —Nie, nie mogę, dałem uroczyste słowo jego konającej matce, że go nie opuszczę... ha! trudno, muszę cierpieć do czasu... Niech przynajmniej nie krzyczą, że opuściłem placówkę, będę jej bronił do upadłego!...—szepnął po chwili.

— Ale co z nim zrobić?... Może on rzeczywiście w potrzebie?... Dług honorowy, albo co?...

Zerwał się starowina z krzesła i jakby mu jakaś zbawienna myśl przyszła do głowy, otworzył lufcik i krzyknął:

— Franek!...

Zadudniło pod oknami od bosych nóg i pojawił się we drzwiach znajomy nam wyrostek.

— Skocz po Chaimka!

— Duchem go tu sprowadzę!...

Niebawem ukazał się Chaimek, uśmiechnięty i słodki. Pokłonił się Snopkowskiemu i obrzucił go wzrokiem pytającym.

— Chciałeś ten kawałek łączki za rzeką? Otóż możesz go wziąć w posiadanie — zagaił rządca.

— Bardzo wielmożnego pana ministratura dźękuje.

— Ale nic darmo!... musisz mi na krótki termin pożyczyć trzysta rubli...

— Aj waj! co za pieniądz! jaki pieniądz! to jest całe dwa tyszące — cmoknął żyd.

— No jakże?... wygodzisz?...

— Na sumienie, nimom... wiemożny panie.

— Bajki, Chaimku!... A gdzież twoje kapitały?

— Wsząkły w żemię...

— Jakto?...

— Ten pożyczył trochę, drugi tyż trochę, trzeci i dziesiąty tyż. Dużo nie oddali, reszte przepadniuło. Dużo pomarli i poszli do żemię, a z nimi moje pieniądze.

— To weź od Gołdy...

— Gołde dawno zbankrutowała...

— Kręcisz, Chaimku — taki sklep miała!...

— Własznie dla tego, co una miała za duży sklep, to potrzebowała zbankrutować.

— A Szlama?

— To łajdak! Un chce zaraz sto za sto, dwie obiwatelskie poręcienie i cztery szwiadki...

— Spróbój pogadać z Rozmaitym.

— Rozmaity nie da ani grosz...

— Dlaczego?

— Un powiedział, co jasny pan Putalski czągle chce brać, a nic nie oddaje...

— Odda... Teraz trochę zatrudno... Ciężkie czasy — bąknął zmartwiony Snopkowski.

— Ciężkie ciasy? — powtórzył przeciągle żyd — dla pana Putalski widacz bardzo letkie som, tylko że te panny... szansnetki dużo pieniądze potrzebują! *Aj waj!* jak one dużo potrzebują!...

— Co ty pleciesz? — przerwał rządca, podrażniony drwiącym tonem Chaimka.

— Zidki wiedzą, co w. pan Putalski robi w Warsiawie i na co potrzebuje widać pieniądze — ciągnął żyd z flegmą.

— Gadaj, co wiesz! — ryknął nagle Snopkowski, chwytając żyda za bary i trzęsąc nim jak piórkiem.

— Gewałt! co w. p. ministratur robi? ja jestem chory, ja mam ciężkie wicisznięcie od żołądka! Gewałt! pan mnie zabije! Co to jest!... wrzeszczał wystraszony Chaimek.

— Głupiś, nie krzycz!...—odsapnął Snopkowski, puszczając ofiarę — nic ci nie zrobię, tylko mi powiedz szczerą prawdę.

Chaimek, blady z przerażenia, począł cóś półszeptem bełkotać do ucha Snopkowskiego, który mieniąc się na twarzy, zaciskał pięście, pluł i tupał co chwila nogami...

— Niech jaśnie wielmożny pan ministratur sam powi, jak tu na taki paskudny interes dacz pieniądze — dokończył Chaimek płaczliwym głosem.

— Masz racyę! Niech go siarczysty piorun trzaśnie! To mówiąc siadł do biórka i szybko nakreślił:

Putalski
Warszawa
Hotel Europejski.
Chaimek szlaban zamknął, dalej jechać nie można.
Snopkowski.

W kilka dni potem, rozpromieniony rządzca posłał na kolej zmizerowane szkapy po Jaśnie Pana.

— Niechby tylko siedział w domu—pomrukiwał Snopkowski, zacierając ręce. — Jeszczebyśmy jakoś z biedy wybrnęli.

O ZMROKU.

Obrazek z natury.

Na wieży kościołka odezwał się dzwonek na „Anioł Pański”, rozpłynął się echem po wsi, wpadł do lasu i skonał w ciszy wieczornej, żegnany szczebiotem ptactwa i rzechotaniem żab, które z wonią kwiatów łagodny wietrzyk z łąk roznosił.

Proboszcz, siwy staruszek, przechadzał się po cmentarzu kościelnym i odmawiał półszeptem pacierze, zasłuchany w pieśń przyrody. W tem u bramy cmentarnej skrzypnęła furtka i wszedł, a raczej wsunął się przez nią Maciej Kłos, ubogi zagrodnik, podszedł do księdza, pokłonił mu się do nóg i pozdrowił „Pochwalonym”.

— Na wieki wieków amen!...—odpowiedział staruszek i zarzucił go pytaniami:—Cóż tam słychać u ciebie?... żona zdrowsza?... może jej leków trzeba?...

— Nie... jeno ziemi trochę!...—mruknął chłop ponuro.

— Umarła?...

— Oj, zmarło się niebodze!... Mnie gospodyni, dzieciom matki zabrakło!...

— Wola Bozka, mój przyjacielu—westchnął proboszcz.

— Mogła żyć... młoda była!... robotna!... Ot dola!... tyla dziecisków zostawiła!...—wybuchnął z żalem Kłos, dławiąc łzy w sobie.

Proboszcz w zadumie przeszedł się kilka razy po cmentarzu, chłop w milczeniu ocierał łzy rękawem, a z pola, z lasu, szły jakieś gwary tajemnicze, pełne rzewności i ukojenia.

— Masz ty ją, bracie, za co pochować?...—podjął ksiądz po chwili, stając przed Maciejem i kładąc mu rękę na ramieniu.

— Toć sprzedałem Janklowi krowę, żeby starczyło!....

— Krowę Janklowi sprzedałeś!..—wykrzyknął proboszcz, cofając się zdumiony. — Miałeś ty Boga w sercu?... Jedna matka dzieciom zmarła, a ty drugą sprzedałeś!...

— Oj, żal było gadziny, jako dziecka rodzonego, ale za cóżbym trumnę sprawił nieboszczce, ciało dał pokryć i do ziemi poświęconej złożyć?...—odparł chłop i zamilkł, bo dziwna żałość przejmować go zaczęła.

— Tylko mi ty nie mów, że to dla nieboszczki!.. Skrzywdziłeś sieroty, żeby huczną stypę sąsiadom wyprawić i razem z nimi ochlać się gorzały!..—zaczął ksiądz surowo, przystępując wprost do rzeczy.—To ty nie wiesz, gdzie plebania?.. Czy odmówiłem któremu pomocy?... Nie masz desek na trumnę, to ci je dam i pogrzeb biedaczce wyprawię, ale mi zaraz idź do Jankla, oddaj pieniądze i zabierz krowę z powrotem.

— Nie odda graniatej!..—mruknął chłop markotnie.

— Idź, sprobuj, ja też tam nadejdę i przemówię, jak będzie potrzeba.

Maciej przypadł księdzu do nóg i z nadzieją w sercu, pospieszył do żyda.

Jankiel ani chciał słuchać o zwrocie krowy; raz mówił, że już ją odprzedał komu innemu, to znowu, że ją zarżnął. Maciej stał i słuchał i coraz cięższy żal go przejmował na myśl, że graniata poszła do żyda na zatracenie.

Krowa tymczasem zamknięta w ciasnej komórce, słysząc podniesiony głos swego gospodarza, ryknęła.

— Widzisz, niekrzcony, jak cię to gadzina moja wydała!...—krzyknął uradowany Maciej i zmierzył do obórki.

Żyd zastąpił mu drogę.



— Co to za rozbójstwo jest? Ja zawołam policye!...

— Wołaj, psi synu!.. nim się dowołasz, to ja ci tu gnaty poprzetrącam!... i skoczył z pięściami do żyda.

— Stój, co robisz?..—posłyszał za sobą głos księdza.

— A bo mi poganin gadziny oddać nie chce!...

— Wielmożny panie proboszczu!... za co ten chłop chce mnie zabić?...—skarżył się Jankiel, zdejmując czapkę przed księdzem.

— Oddaj mi krowę!...—zaczął znowu chłop.

— Za co ja ci mam oddać krowę?..—zaperzył się żyd.

— Bo moja!..

— Nieprawda, bo moja, kiedyś wziął za nią pieniądze!.

— Słuchaj Janklu—przemówił proboszcz—to nieszczęśliwy człowiek; umarła mu żona, osierociła drobne dzieci; on z żalu nie wiedział co robi i sprzedał ci krowę... Nie trzeba korzystać z nieszczęścia ludzkiego...

— Przecie ja go nie szukałem, upierał się żyd, sam do mnie przyszedł i tak płakał, aż mi się serce urywało. Co miałem robić?... pożałowałem go i kupiałem to bidle.... Uczciwie kupiałem, na moje sumienie uczciwie!... Drugi by nie był taki sercownik!...

— Nikt temu nie przeczy, mój Janklu—ponowił ksiądz łagodnie — ale taki nabytek i Panu Bogu niemiły. Oddaj mu krowę ja cię proszę o to!...

— Jak wielmożny pan prosi, to całkiem co innego jest!... Mogę tę grzeczność zrobić. Niech mi zwróci moje pieniądze i krowę sobie zabierze.

— Pan Bóg ci to wynagrodzi, Janklu—rzucił ksiądz na odchodnem.

. . . .

W chwilę potem Maciej Kłos, pędził krowę ku domowi i patrzył z radosnem podziwem, jak gadzina gnała ostro do chałupy. Graniata bowiem szła szybko, oglądała się na chłopa co chwila, trzęsła łbem i pomrukiwała, a chłopu się zdawało, że ona go tak przynagla do pośpiechu i zagaduje, więc myślom swoim głośno odpowiadał:

— Juści, twoja prawda, graniata, żem cygan; sprzedałem cię żydowi, on by cię zarznon i ktoby mi drobiazg wyżywił?... A pewnie tam w izbie głodne siedzą niebożęta!....

. . . .

W chałupie Macieja płacz i lament wielki.

Maciejowa leży martwa na barłogu w komorze, tak, jak ją tam z łóżka dla lekkiego skonania zawlekli.

Gromnica zagaszona sterczy w kącie, a biedne, rozpłakane sieroty, przysiadłszy cicho, spoglądają wystraszone na baby, co szyją dla nieboszczki śmiertelny przyodziewek i przepijają co chwila wódką, żeby ich „trut od ciała nieobleciał.”

— Musi Maciej wstąpił do karczmy, coś go długo niewidać — zaczęła któraś.

— Do Kubiny zaszedł i siedzi—wtrąciła z przekąsem wdowa po wyrobniku.

— Stul-że gębę!...—powstały na nią wszystkie—przecie nieboszczka nie zastygła jeszcze; już by się z drugą zmawiał?

— Obraza Bozka z chłopami!..

I znowu zabrały się do kieliszka.

W tem z kościołka doleciał odgłos dzwonów, smutny jakiś i łzawy; baby głośniej jęczeć zaczęły, a dzieci zaniosły się wielkim płaczem.

— Nie płaczta, robocki! nie płaczta!... przyniosą wam tatulo coś...

Jakby na zawołanie, weszła graniata na podwórko, stanęła cicho pod oknem i zajrzała do izby.

Nie widząc swojej żywicielki, ryknęła żałośnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!..—skoczyły baby wystraszone.

— Graniata!... graniata!...—wykrzyknęły sieroty, pocieszone nagle w swoim smutku i pędem wybiegły z chałupy na powitanie ulubionej krówki.

. . . .

Blaski dnia gasły coraz więcej, księżyc wytoczył się z poza lasu i płynął po niebie tak cicho, jak pacierz księdza, który, wróciwszy do domu, kazał uderzyć we dzwony na znak, że znów jedna dusza ziemię opuściła i sam pomodlił się o spokój wieczny dla Maciejowej.



ZEMSTA SZLAGONA.

Moryc Engel był to sobie „znany medycynnik" na cały powiat i okolicę.

Nie w Dordach, ani Łysobykach miał swój zakład felczerski i „salion do golenie i strżizienije" ale w bardzo porządnem i dużem mieście.

Niski, chudy, z okazałym nosem, rudą brodą, wystawał zawsze w drzwiach od „swój salion" i bacznie śledził za ruchem miasteczka.

— Jak ja robie ustawienie w nogi, to sam pan doktór Koszyński lepi nie potrafi — mawiał z dumą o sobie — a jak wipuszcze chłopu krew (za drogie pieniądze), to leczi jak fontanne saskie, albo drugie wodneczągi warsiaskie.

— Raz urwałem zębu od pani dziedziczki z Kocieoczko, to buło takie dżywienie, że aż depesze pisali do pana Strasburgier we Warsiawy, specjałyste, co bi un przyjechał zobaczyć... Państwo wiedzą, po co psijechał? On mnie chczał— obrazić, zwyczajnie jak każdy doktór — specjałyste, paskudny zazdrośnik i wielki gwałtownik. *Aj waj!* co to buł za hałas! Jak sze na mnie z okiem postawił... Jak zrobił krzyk: paszoł won ty łajdaku! To ja nie chczałem z nim już wcale gadacz i z piechotką wróczyłem sobie do mój „felcierski salion."

— Musiałeś szczęki naderwać, jak temu Bartkowi—wtrącali słuchacze.

— Może Bartek umarł od tego. Bogu dżękowacz mam u niego jeszcze garniec masło — odpowiadał zazwyczaj i spluwał pogardliwie.

Do tego sławnego na całą „okoliczność" Engla, zajechał pan Wypłosz, dziedzic z Obiboków, kawaler, mający ochotę stanąć na ślubnym kobiercu obok uroczej Hani, wybranej swego serca.

Przyjechał, bo kapryśna Hania zawyrokowała, że bez brody, stokroćby jej był milszym. Na takie *dictum* nie było rady innej, jak poświęcić okazały zarost na ołtarzu miłości. Wpadł więc jak bomba do razury i huknął potężnym basem:

— Żydzie, dyable, zgól mi brodę!...

— Pan dzedżycz lubi ładny ziart... —odezwał się niezdecydowany Moryc, patrząc z ukosa na wspaniałą brodę Wypłosza.

— Głupiś! gól kiedy ci mówię...

— Co robicz? gól, to gól, ja to zrobię *fein und git*, przez ziadne fusierke, ale jak pan dzedżyc zrobi potem krzyk? To co będże? Gwałt?

— Gól do stu jasnych piorunów, póki mam ochotę!...— zagrzmiał groźnie szlagon, czując, że go żal za serce chwyta.

— W ty chwyle — przerwał pospiesznie Engiel i wysunął jakiś stary fotel, bez nogi, na środek salonu, otrzepał go z kurzu, podstawił w miejsce brakującej nogi pudełko z bańkami, jeszcze raz strzepał i poprosił Wypłosza, by usiadł do operacyi.

Okazały szlagon rozsiadł się wygodnie w „ładnym meblu," wyciągnął nogi przed siebie i z cierpliwością, godną lepszej sprawy, pozwolił Englowi harcować nożycami po swojej brodzie. Gorsza była sprawa z goleniem.

— Spiesz się—naglił żyda—bo siedzę, jak na szpilkach.

— *Bałd...* w ty chwyle — poprawił się — ja to muszę *fein* — elegancko zrobicz. Że to som ciasem takie delykatne dżewice, co nie lubią ziadne kolenie... — zaczął ubolewająco.

— Milcz, durniu i rób swoje—przerwał mu ostro szlagon.

W tem drzwi skrzypnęły i do „salionu" wsunęła się jakaś średnich lat żydówka. Engel się obejrzał i nie chcący — rozpłatał brzytwą namydloną gębe szlagona.

— Łotrze! hyclu! złodzieju!.. — ryknął okaleczony Wypłosz, podskakując na fotelu i razem z „ładnym meblem" runął jak długi na podłogę.



Moryc struchlał. Blady z przerażenia wypuścił brzytwę z ręki i jednym susem znalazł się za drzwiami, za nim jak

strzała wyskoczył jego pomocnik. Zostali tylko Wypłosz i trzęsąca się ze strachu żydówka.

— Bodaj cię piorrruny — odsapnął szlagon, podnosząc się z ziemi zakrwawiony, ale i rozśmieszony ucieczką Engla.

— Oj Haniu, Haniu! coś ty mi narobiła — westchnął zbolałym głosem, przeglądając się w lustrze.

— Co ten łotr za małpę ze mnie zrobił?... Haniu! ja ci tego nie daruję!...

— Jaśnie hrabio? co ja temu winna, doleciał go płaczliwy głos z za szafy.

— Co? gdzie? kto?... — pytał zdumiony szlagon, rozglądając się po razurze.

— Na moje sumienie—jestem całkiem obce osobe,—usłyszał znowu.

— Wyłaź, głupia, z kąta i gadaj, o co chodzi?...

Żydówka ostrożnie wysunęła głowę z za szafy i drżącym głosem powtórzyła:



— Na moje sumienie, całkiem obca.

— Cóż mnie to obchodzi! — żżymnął się Wypłosz.

— Jaśnie hrabia mówiół: — Chaje, ja czi tego nie daruje... Ja jestem Chaja... Co jaśnie hrabia może potrzebowacz od bidne żydówke?

— Idźże sobie do stu piorrrunów!... — ryknął rozwścieczony, lecz nagle złagodniał pod wpływem jakiejś ukrytej myśli, która mu w głowie zaświtała i zapytał:

— Coś ty chciała od Engla?

— Dzieczy mi chore, chciałam je troche poratować, żeby je znowu nie stracić...

-- Tyś już straciła które?... — badał przyjaźnie.

— *Aj waj!...* — rozrzewniła się, co ja straciłam jedno, dwa dżecki... ja straciłam cały ogół, całe pokolienie, razem i męża tyż.

— Tyś wdowa?

— Bogu dżękowacz—rozgadała się coraz więcej ośmielona żydówka. Szedem kwartałów, jak jestem znowu po wieselu, ale mi mąż bardzo słabuje...

— Cóż mu jest?... — badał Wypłosz, lepiąc sobie na twarzy plasterki.

— Czy ja moge wiedżycz? Od ciasu, jak mi z nim Pan Bóg podarował dwa bliźnięte, to un zasłabł. Chodziułam do różne doktory, dawałam medycyne, takie środkowe proszki, za pozwoleniem z dołu i z góry, z góry i z dołu, to mu sze troche lepi zrobiało, już buł całkiem nawet zdrów iświży, zwiczajnie jak po wymietaniu i nie wiem, co sze stało, znowu chory jest, znowu mu takie bolienie wilazło na bok...

— Zeżarł co huncwot!... — oburzył się szlagon, przejęty strapieniem żydówki.

— Co taki bidny żidek może zjeszcz? Raptem za pietnaszcze kopiejki ugotowałam mu troche fasoli z genszem smalec i troche kapusty i za co un taki chory jest? Za co moje bliźnięte chore som? Czy za to, że ja taka bidna jestem sirota? Czy za to, że ja mam ze wszystkiem zerwane nogi od handlowania po mieszcie? Czy za to, że ja mam te dwoje słabe bliźnięte... A co sze zrobi z te trzecie, jak bedzie

chciało sobie tyż zobaczyć kawałek świat?! *Aj waj mir!* sama nie wiem, za co?...—rozbeczała się na dobre żydówka.

Szlagon splunął — wzruszył ramionami i mruknął:

— Zwaryowała szelma!... troje, w takiej biedzie. Mąż niedołęga czwarty... na jednej głowie! No masz rubla i nie becz — dokończył.

— Jasznie hrabio!... — wykrzyknęła żydówka, cisnąc się do rąk Wypłosza, niech jaśnie hrabie Pan Bóg winagrodzi... to nie rubel! to zdrowie!... to całe tyszące!... Pan Bańkowski najlepiej mi za to poradzi.

— Co to za jeden?...

— Dwa dni, jak otworzył sobie salion naprzeciwko, podobno bardzo znający, ale nimogłam darmo iść, nie znam go, nie szmiałam...

— A to pysznie!... chodź, pójdziemy razem... Ten mi przecie pyska nie pokiereszuje.

— Piska?... szlachetne twarz jasznie hrabio, bardzo szlachetne.

I poszli.

Bańkowski bezinteresownie zajął się żydówką, a Wypłosza wygolił — furda fryzyer warszawski.

— To skończony złodziej!... — zadecydował Wypłosz, ściskając ręce Bańkowskiemu—dziękuję panu, a tego huncwota nauczę, jakem Wypłosz nauczę!...

* * *

— No, Haniu — pomrukiwał, gramoląc się na brykę— jeżeli i teraz będziesz grymasić, to jak Pana Boga kocham!... I nie dokończył groźby, bo mu obraz uroczej blondynki zajaśniał przed oczami.

* * *

W pół roku po wypadku Moryc Engel, został wezwany do Obiboków, gdzie obłożnie gajowy zachorował.

Rad, że „dżedżyc" przywraca go do swojej łaski, pospieszył bez zwłoki. Minął jeden dzień, minął drugi, Engel przepadł jak kamień w wodę. Aż trzeciego dnia rano, zjawił się w „salionie" jakiś jegomość, fizyognomią mocno zdradzający francuza i począł szybko pakować manatki. Śpiący za szafą żydek, przebudzony niezwykłem zachowaniem się obcego intruza, zrobił krzyk, lecz jakże się zdumiał, gdy „goszcz" odezwał się przyciszonym, ale dobrze mu znajomym głosem: *Stil, hałte pisk!...* To ja, Moryc Engel.

Tak, ten piękny francuz, z wąsami na szpic i napoleońską bródką, był pan Moryc Engiel „wielki medycynnik," sam we własnej osobie, ogolony ręką Wypłosza!

Taką była zemsta szlagona za pokiereszowaną brodę!

Z uroczą Hanią do dziś dnia przysiąg małżeńskich jeszcze nie zamienił.



CHOLERA.

Obrazek z natury.

Niebo było szare, jesienne, płachty chmur płynęły jedna za drugą gnane wiatrem, zdawało się, że tym chmurom niema końca, że ścigają się o lepsze z ludźmi, którzy biegną po ziemi pełni przerażenia, pędzą hen przed siebie, na oślep, jak stado owiec błędnych i krzyczą rozpaczliwie:

— Cholera! cholera!

Wśród lasu, rzuconego wstęgą szeroką po przez góry i doliny, na polance, otoczonej zbitą masą drzew, rozsiadła się gromada ludzi dokoła palącego się ogniska. Krzywe nosy, długie brody i zapach cebuli świadczą, że to żydzi.

Radzą nad czemś, bo wrzeszczą hałaśliwie i gestykulują.

— Uczeknie, napewno uczeknie — prawił przekonywająco gruby Nucher, gdy burzliwe posiedzenie zbliżało się ku końcowi.

— Jak mu sze dobrze zapłaci, to będże szedżycz—zbija go inny.

— To ty Majer myślisz, co ja tamtym źle płaciułem?

— Ja myśię, co dobrze...

-- Dlaczego potrzebowali uczeknącz?

— Dałesz im wódki picz?

— *A bissełe...*

— Ny, to ty bułeś głupi, trzeba im dużo dacz i mocnej.

— *Er hat recht!...* — wykrzyknęła chórem godna kompania.

— Ja wam zaraz pokażę, jak sze to robi—ciągnął dalej z przekonaniem Majer i zwrócił się do leżącego na trawie chłopa:

— Bartek! za co ty wżołesz od nas pieniądze?

— Wziołem, bośta mi je dali i tylo!...

— Ale za co?

— Niby za pilnowanie od jakiego zwirza, albo innego trafunku złego w lesie.

— Może cze pokropicz?

— A cóz to ty, parchu, ksiądz, zebyś me kropił? hę?...— oburzył się chłop i ścisnął pałkę w dłoni.

— Pan Bartek nie rozumie troche ziart? Ja sze chce pitacz na pana, czy pan Bartek będzie wódke piuł?

— Nie pytać, ino dawać — przerwał chłop pospiesznie.

Majer postawił przed nim butelkę i kieliszek.

— Pijcze sobie na zdrowie!... zaprosił.

Bartek schwycił butelkę, odtrącił kieliszek i mruknął:

— Juz ja ta wolę ze staruchą pogadać.

Żydzi spojrzeli po sobie tryumfująco i poczęli mrugać porozumiewająco. Spostrzegł to Bartek i wypuścił z rąk butelkę. Ciarki go przeszły po skórze, a myśl w głowie mignęła.

— Zaślachtują mnie tu juchy na amen...

Siadł milczący na pieńku i ukradkiem spojrzał w gąszcze.

— Hulnę, albo co?... — medytował.

— *Er hat siojn* — roześmieli się żydzi.

— Co wy scekota?... — odezwał się rezolutnie Bartek, nabierając pod wpływem wódki animuszu.

— Może pan Bartek będże chczał co szpiwacz?... — zaproponowali młodzi

Majer zgromił ich piorunującym wzrokiem.

— Wolę wom co powiedzieć — ofiarował się na wpół pijany „opiekun.”

— Dobrze, niech pan Bartek nam co powie.

— Ano to słuchejta — zaczął, naciskając czapkę na uszy.—Był sobie taki dziadek, bardzo mundry człowiek, znoł cytane i pisane, nic po próżnicy nie robił i mioł na wsyćko swoje prześpiegi. Chodził po proszonym, a choć różne dziady bankreciły, on zawdy zbiroł grosze, bo umioł grane i śpiwane, a że siła światu widzioł i mógł o tem różności powiadać, to też mu ludzie pchali w kabze, co wlazło.

— Jak zacena po świecie chodzić cholera...

— Tfy!... — spłunęli żydzi.

— Cóz wy plujeta?... — obraził się chłop.

— Tak nie można mówicz — objaśnia go Majer, częstując papierosem — to sze mówi „paskudne chorobe.”

— Juści ona nie pikno, ale się zawdy tak nazywo — twierdzi pojednawczo Bartek i, zapaliwszy papierosa, ciągnie dalej — ten ci to dziadek godo swojej babie — niby, żunie: „słysys, puńdę ja we świat, może ją kaj niebądź nańdę i przytrzymom.”

— Loboga rety!... — wrzescy baba, zechlołeś się i lada co oziorem mieles...

Stary się rozjańkurzył, przewiesił se torbę bez plecy, trzasnął drzwiami i posed prec z chałupy. Wzion skaplirz poświęcany w jedną rękę, różaniec w drugą, okadził się jałowcem i ruszył.

Idzie se borem i lasem,
Nabożnie śpiwo basem,
A okiem ciągiem śledzi,
Cy cholera kaj nie siedzi.

— Tfy!... — splunęli znowu żydzi.

Bartek zerknął na nich zjadliwie i prawi dalej:

Aż tu patsy, na mrowisku
Siedzi baba w pstrem chuścisku!...

Na podołku trzyma kota cornego, takuśki tyz pies za nią przysiadł, spuścił ogon, podniósł mordę i na śmierć wyje.

Zmiarkowoł se dziadek, że to „ona", puścił się w dyrdy do niej i ksycy:

— Ha! tuś mi bezkurcyo!...

Baba w nogi, dziadek za nią, chycił ją za chustę i tzymo.

— Kaj to ty się, babo, wleces?... — pyto.

— Puść me, co ci do tego!... — woło baba.

— Godej, bo cię jak psa zerznę!... — obiecuje stary.

— Co ty se głupi myślis?... — woła baba — kogo ty łapies?... Mom taki przykoz, zebym szła miedzy żydowiznę, co krześcijańskiej duszy przewodzi, a osobliwie wieskich ludzi gubi!... Idę ich przebrać, zeby stateczność i bogobojność znającym, skuteczny ratunek podać, a ty głupi sprawiedliwości se nie miarkujes i opór stawias...

Żydzi rozbawieni początkiem, zaczęli w toku opowiadania szemrać i nagle, nie czekając końca, rzucili się wszyscy, jak jeden mąż, z pięściami na Bartka.

Chłop widząc, że to nie przelewki, przewrócił kilku z brzegu i „hulnął" w głąb lasu.

* * *

— Takieśta to wy, niekrzcone, na moją dusę dybieta...— mruczał, przedzierając się przez krzaki — cekojta, sprowadzę jo wom „salutarność!..."

Niedługo potem, gromada chłopów wkraczyła cichaczem do lasu. Na czele wyprawy szedł z powagą sołtys, za nim Bartek.

Otoczyli szybko zarośla i poczęli ścieśniać koło. Jakież jednak było zdziwienie wszystkich, gdy ujrzeli pustą polankę przed sobą.

— Cygon — roześmieli się z Bartka chłopi.

— I cóz ty chamie godołeś? kaj tu są żydy?... — rozsierdził się sołtys.

— Dwunastu ich tu było, jak Boga pragnę przy skonaniu — zaklął się Bartek.

— Gdzie ich mos?...

— Ajwo!... — wrzasnął któryś — na drzewie siedzi jeden.

— I drugi!...

— I trzeci!...

— Czwarty, piąty...

— Retuśki!... — krzyknął uradowany „zdrajca” — wszyćkie powłaziły na drzewiny!...

Sołtys, nieco udobruchany, wystąpił na środek polanki, obejrzał uważnie drzewa i zakomenderował:

— Dali, żydy!... złazić na ziemię!...

— Na co to? — panie sołtys — nam tu bardzo dobrze jest...

— Słysyta! pókim do-bry — zaakcentował przedstawiciel władzy gminnej surowo.

— Co pan sołtys chce z nami zrobicz?..:

— Pójdzieta do bezyfekcji — pokropią was i puszczą.

— Po co kropicz?...

— I wykodzą...

— Kogo pan sołtys chce kadżycz? czy my to jakie szmierdżuchy, żebi nas kto potrzebował wikadżycz?.. — odezwało się kilku urażonych.

— I cóz wy sobie myślita, ze jo tu bede do jutra z wami godoł i spirki robił?... Chłopcy bierzta siekiery!...

— *Liber got rachmenegedojłes!...* — wrzasnęli chórem żydzi i w mgnieniu oka znaleźli się na dole.

— Siła ich tu jest?...

— Wszyćke są — zapewnił Bartek.

— A no to kupą marś!....

Żydzi, ośmieleni pokojowem zachowaniem się chłopów, ruszyli rzędem.

— Bogu Najwyższemu powinniśta ufać, a nie chować się po dziurach — strofował ich w drodze sołtys.

— Panie wójcze — odezwał się z pochlebstwem Majer.—Pan Bóg przecie powiedżał: „Pomagaj sobie, to ja ci tyż pomogę!...

* * *

Wyszli z lasu. Niebo się rozchmurzyło; tu i owdzie błyszczały gwiazdy i księżyc srebrem ziemię oblewał.

Zbliżyli się do wsi, gdzie pod krzyżem klęczała gromada ludzi.

Płaczą tam, modlą się i biją w piersi.

Starzec siwowłosy zaintonował hymn błagalny i w ciszy wieczornej rozpłynęła się pieśń rzewna, prośba serdeczna, pokorna!...

Szła przez góry i lasy, jako wyraz gorącej ufności w miłosierdzie Boże, a Chrystus rozpięty na krzyżu, w potokach światła skąpany, zdawał się ożywiać, wyciągać ramiona i błogosławić, uspokajać i pocieszać biedny lud strapiony!...



Dawid contra Maciek.

(Obrazek z natury.)

Żyd chciał ukraść chłopu gęś na jarmarku, chłop przyłapał go na gorącym uczynku, gęś odebrał i wymierzył sobie doraźną sprawiedliwość z taką energią i pośpiechem, że choć krzyk złodzieja sprowadził licznych współwyznawców, świadków jednakże samowoli chłopskiej nie było.

— Czego on wrzeszczy? — zapytał przedstawiciel porządku publicznego, zbliżając się do chłopa.

— Wim jo? — odpowiada zapytany, udając że poprawia coś koło wozu.

— On mnie zabiuł — woła żyd.

— Nie pyskuj, żydzie, na chrześcijańskich ludzi—oburzył się chłop.

— Cicho! Rozejść się. Nie hałasować.

— Ja go nauczę — pogrozil żyd, odchodząc — ty będziesz potrzebował to wichorowacz! — rzucił raz jeszcze znikając w tłumie stronników.

Jakoż wkrótce po tem zajściu, poszkodowany na honorze i pokrzywdzony Dawidek wytoczył Maćkowi sprawę o pobicie, popierając ją licznymi świadkami tego samego co i on pokroju.

I oto znajdujemy ich wszystkich w sądzie gminnym.

Sędzia uroczystym głosem przeczytał treść oskarżenia, sprawdził tożsamość świadków, odebrał od chrześcian przysięgę, a żydów uprzejmie zapytał:

— Chcecie przedemną przysiądz, czy też ma przyjść rabin z rodałami?

— Na co rabin? — podchwycili świadkowie — my i z panem sędzie możemy zrobić przyszęganie!

— No, to Icek i Mordka, włóżcie czapki na głowy! Gitla i Łaja niech dwa palce do góry podniosą i powtarzajcie za mną...

— Na co my mamy z palcem do góry podnosić? — zaprotestowały starozakonne damy.

— Uciszyć się!

. . . .

Po odebraniu przysięgi, woźny wyprowadza świadków z sali sądowej, żydzi przez arogancyę, czy też roztargnienie, idą w czapkach.

Oburzony woźny wymyśla im pocichu:

— Co wy gałgany sobie myślicie! A czapki gdzie?

— Psieprosomy — odpowiadają i odkrywają głowy.

— To ci pogany! Panu Bogu przysięgali w czapkach, a teraz zdejmują! — zauważył ktoś z tłumu.

— Ciszej tam! — powtórzył sędzia i zwrócił się do obwinionego:

— Obecny tu Dawid Markotny skarży was o pobicie; co macie na swoją obronę?

— Doprosom się sprawiedliwości prześwietnego sądu, to tak było: przyjechałem na jarmark i przywiozłem gęś i ciele na sprzedaż; przychodzi ten tu żyd i targuje:—Co chcecie za cielę? Trzy ruble—mówię.—Drogo, dam dwa z gęsią—powiada.—Ja mu na to nic. On się znowu pyta:—No, jakże będzie? Nic z tego nie będzie! — odpowiadam i obra-

cam się do koni, a on łapie gęś i umyka! Chwyciłem go za brodę, gęś odebrałem, ale według bicia, to żyd cygani, najwyższy sądzie!

— Niech ja zaraz upadnę, panie sędzie, jak on mnie nie bił! I za co? Za to, co jego głupie gensz potrzebowało się zlęknąć i wiskoknąć na mnie z woza!

— Cygani, najwyższy sądzie! przecie była związana!

— Na mój honor, wielmożny panie sędzie, ja tylko samą prawdę mówię!

— Gadaj sobie, co chcesz... ja i tak wiem, że katolik jestem, a ty żydem byłeś i ostaniesz.

— Wezwać świadków! — rozkazał sędzia.

— Co powie Icek?

— Wierz mi pan, kochany panie sędzio, co ja dobrze nie rozumiem te sprawe! widziałem chłopa i gensz. Ciele i kura buło tyż, ale kto kogo pobił, to ja nie widziałem!

— Mordka co widział?

Zapytany, przełknął ślinę parę razy i odezwał się.

— Psiepraszam... co ja potrzebowałem widżycz?

— Czy bił ten oto człowiek tego tu skarżącego?

— Czy on go biuł? Niech wielmożny pan sędzie rzuci z okiem na spuchnięty nos od tego żidka i jego lewe gębie z czemny kolor, to się przekona jakie to bicie buło!

— Proszę odpowiadać na pytania.

— Psiecie ja mówię podług psisięganie, a więcej, to ja nic nie gadam!

— Świadek Kopanek, co wie w tej sprawie?

— Mówcie prawdę, panie Cechu — zachęcił go półgłosem oskarżony Maciej Sikora — mówcie według wiary naszej, obrządku i pamięci matki, która was rodziła!...

— Ja sem to powiem, co ten kupec za geńś nie platil!

— Nie o gęś chodzi — tłomaczy sędzia — tylko o to, czy ten chłop bił żyda?

— Sem słabo uderzal! Ja bym sem lepiej zrobil — oświadczył czech lakonicznie, ku ogólnej wesołości zebranych.

— A Michał Zięba był przy tem? — zapytał sędzia nowego świadka.

— Byłem i widziałem! Po prawdzie mówiący, to jak Maciej odbierał żydowi gęś, musiał go krzynkę potrącić, bo żyd wrzasku i armidru narobił, ale, żeby znów miało być z tego prawowanie, tom tego nie myślał! Bo to raz, albo dwa, żyda się batem spierze na jarmarku? Te śpekulanty ciẹgiem się ino kręcą, żeby co porwać, człeka okpić, zamanić, a potem go po sądach włóczyć i poniewierać, jak nie swoją gębą, to jadwokacką!...

— Świadek za wiele mówi!—zauważył obrońca Dawida.

— Rzeczywiście — poparł go jeden z ławników, ziewając rozpaczliwie.

— Wprowadzić Gitlę i Łaję! — przerwał sędzia.

— Miszlałyśmy, co wielmożny sąd całkiem o nas zapomniał — odezwały się damy z pewnym przekąsem.

— Proszę odpowiadać na pytania! — zauważył sędzia.

— Gitla ile lat sobie liczy?

— I to pan sędzia potrzebuje wiedżyć?

— Nas tam buło pięcz, albo może nie wiem ile żydówek, dla czego ich nie wołali do sądu? — odezwała się płaczliwym głosem Łaja i zwróciła się z wymówką do Dawida.

— Po coś nas tu sprowadzał, ty głupi żydzie?

— Proszę mi tu po żydowsku nie szwargotać, bo zapłacicie karę! — pogroził sędzia.

— Koniecznie mamy lata powiedzieć? — spytały się jednocześnie żydówki, słysząc coś o karze.

— I rzetelną prawdę! — dodał sędzia.

— My tylko dwa słowa powiemy — zaczęły, gdy sędzia notował w aktach liczbę wiosen każdej z osobna. —

Ten paskudny chłop, to całki rozbójnik jest! gałgan i rabusznik! on nas obelgował!

— Ślepa! — wołał.

— Małpa! — krzyczał.

— I smyk powiedział tyż!

— To do sprawy nie należy! — przerwał sędzia.

— Ładne sądzenie jest! — obraziły się obie damy, wracając na swoje miejsca.

Badanie świadków, którzy nic obciążającego dla Maćka nie zeznali, na tem się skończyło. Mimo to adwokat Dawida Markotnego chrząknął parę razy, spojrzał na przeciwnika, który z amatorstwa podjął się obrony Macieja i tak przemówił:



„Jak się pokazuje, to klient mój był w niebezpieczeństwie życia. Samowola rozpasanego tłumu nie może pozostać bez wymiaru sprawiedliwości...

— Taki porzundny pan na oko i za siachrajami obstaje! — zauważył oskarżony, wzdychając.

— Co chcesz! — pocieszał go rezolutny Zięba, wilka nogi żywią, a jadwokata — gęba!

— Ciszej! co to za rozmowy? — szepnął woźny.

...Tu już nie jednostka występuje -- ciągnął dalej adwokat — ale jak słyszeliśmy, ogół zachęca do działania, przynoszącego szkodę spokojnemu obywatelowi! Czech dowodzi, że obwiniony słabo uderzał; drugi świadek dodaje, że na jarmarku żydów batem się pierze!

A ten kamień, co go trzymam w ręku, jakie ma znaczenie? Oto mój klijent wręczył mi go dziś przed sprawą. Takich to środków używają wiejscy ludzie do wymierzania sobie sprawiedliwości! O tym kamieniu sąd nie wspominał, a i świadkowie w toku sprawy przemilczeli, jednakże jest to oburzający fakt zdziczenia obyczajów, który wymaga jaknajsurowszej kary."

— Eh! takich kamieni — odezwał się obrońca Macieja — może skarżący całą furę przywieźć! Szkoda, że tego nie zrobił, bo toniemy w błocie, ilekroć razy przychodzimy na sądy!

Ja z mojej strony — zwrócił się do sędziego — wobec nic nieznaczących zeznań świadków, proszę o zupełne uwolnienie Macieja Sikory!

— *Wus sugt er?* — szepnął Dawid do Icka.

— On ci zrobił koszty!

— Zobaczymy, jaki będzie wyrok!

Sąd po krótkiej naradzie Maćka zupełnie uniewinnił, skazując Dawida na koszty sądowe. Żydzi byli zdumieni:

— Co? z tyle szwiadki? niewinny? — odzywali się niezadowoleni.

— *A soj!* — mruknął Dawid do swego obrońcy — to sędże tyż jest antysemitnik! Dobrze wiedżecz!

— Dawid! *mach di apelacye!* — radzili mu przyjaciele.

— To sze wi! Jeszcze nie buło takiej sprawy, żebym ja na niej nic nie zarobił!

— I nie będzie! — zakończył z mocą obrońca.

Obrazki kolejowe.

NA GAPĘ!

W pociągu osobowym konduktor przyłapał średnich lat żydówkę, jadącą na tak zwaną przez kolejarzy „gapę,” to jest bez biletu. Wysadził ją z wagonu na najbliższej stacyi i oddał zawiadowcy. Zawiadowca powierzył ją opiece tragarza, a sam szybko załatwił papiery i pociąg w dalszą drogę wyprawił.

Tragarz, w obawie, żeby mu „gapa” nie uciekła, zaprowadził ją pod dzwonek i stanął obok.

Żydówka, lamentując, uważnie śledziła ruchy zawiadowcy, który chodził po peronie i spoglądał na nią z ukosa.

— Panie wiwiadowce!... — zaczepia go „szwarcowniczka” płaczliwie.

— Stul gębę!... — doradza jej szeptem tragarz.

— Panie naczelnik!... — probuje dalej niezrażona milczeniem zawiadowcy kobieta.

Naczelnik stacyi energicznym ruchem ręki nasunął insygnia swojej władzy na oczy, i nadawszy twarzy wyraz nieubłaganej surowości, zbliżył się nareszcie do ofiary.

— Masz pieniądze na zapłacenie kary? — zapytał ostro.

— Zkąd ja mogę mieć piejądze?

— Bodaj cię, szelmo, zła krew zalała!... Kuba, biegnij po wachmistrza.

— Panie wiwiadowce!... — rozbeczała się żydówka.

— Cóż ty, gałganico, sobie myślisz, że ja tu żarty będę z tobą stroił? A to skaranie boże z tymi oszustami!... Nic, tylko pisz raporty za raportami, jakby nie było innej roboty.

Na peronie zjawił się żandarm.

— Chodź za mną!... — rozkazał żydówce.

— Jaśnie wielmożny panie wiwiadowce!... — broniła się rozpaczliwie — ja chcę wrócić z powrotem!... Niech mnie wsadzą na „brenkat" towarowy, to sobie zaraz pojadę!...

— Precz!... — zgromił ostro zawiadowca.



— Ot, chytrość!...—zauważył stróż porządku stacyjnego.

— Szelma!... — dorzucił naczelnik.

— Co ja bidne, schorowane żidówke moge zrobić?..

— Zapłać karę i wynieś się do stu katów.

— Zkąd ja wezmę pieniądze?

— To łaź piechotą, a nie rozjeżdżaj się kolejami!...

— Czy to ja mogę tak prędko lecić?... Przecie ja stara jestem i nogi mi nie chcą całkiem słuchać...

— To siedź w domu!...

— Kiedy ja bardzo potrzebowałam jechać. Ja miałam bardzo pilny interes... Ja jestem trochę spodziewająca...

— Płać!...

— Kochany panie nacielnik!... niech mnie pan wipuści, ja jestem chora, ja mogę panu zrobić ambaras. Tam w domu zostawiłam małe dziecko, Berek się nazywa!... Słodkie dziecko. On sobie zrobi jakie nieście̜ście, a już ma cokolwiek garb na plecy!... Za to un ma głowę!... Co to za głowa jest! Na moje sumienie co to za głowa!... A każde oko u niego...

— Stul gębę — szturchnął ją tragarz.

— Każde oko u niego — ciągnie dalej matka, nie zważając na przestrogi tragarza — to jest jeden wielki briliant!... A jakie to mądre dżecko jest... Jak ja jemu mówią: Berek złap ty sze za ucho, to un się śmieje, łapie szę za brodę i wyciąga język. Oj! żebim ja miała tyle rubli co ja go razy pocałowałam, tobym ja dziś nie potrzebowała tu stać i mogłabym sobie jechać z wielkie parade!...

— Skończ-że już raz z tą gadaniną i zapłać, co się należy!... — przerywa zawiadowca.

— Ja nie mam jednego sieląga...

— Wachmistrzu! proszę ją wziąć, szkoda czasu.

— Gdzie pan ziandar potrzebuje mnie wziąszcz? Ja sze boję! *Oj! gewalt! ajwaj mir!* ja czuje wielgą słaboszcz!— stęka wystraszona i osuwa się ciężko na ziemię.

— At, gałgan baba! — zafrasował się wachmistrz.

Świadkami tego zajścia było kilku żydów; stali oni opodal i coś między sobą szwargotali.

Widząc upadającą współwyznawczynię, skoczyli żywo z pomocą, a jeden z nich uchylił czapki i słodko do zawiadowcy przemówił:

— Panie nacielnik, to jest czerpiące osobe, na co robić taki gwałt?

— Zapłacisz za nią?

— Co się należy?... — zapytali chórem żydzi.

— *Warte abissele* — szepnęła cicho żydówka — *noch eine probe machen...* może się uda.

— Co ona tam szwargocze?...

— Licho ją wie! — wzruszył ramionami żandarm.

— Ta „pani" mówi, co ona ma bardzo wielkie bolenie — objaśnił któryś z obrońców.

Jakby na potwierdzenie tych słów, rozległy się rozdzierające jęki:

— *Aj waj! gewałt!...* panie wywiadowca!... panie żandarm!... słodkie ludzie!... czy tu niema jaki damski felcier?"

— A bodaj cie ciężkie licho!... Bartek, Kuba, żywo, dawajcie tu nosze!... — spieszcie się!...

— Ot szelma!... — splunął zgorszony wachmistrz.

Jęczącą z bólu żydówkę, Bartek z Kubą władowali ostrożnie na nosze i podniósłszy w górę, oczekiwali dalszych rozkazów.

Tymczasem do zawiadowcy przysunął się jego pomocnik i szepnął:

— Panie, ona udaje, widziałem jak otworzyła lewe oko.

— Mnie się też coś zdawało — pokręcił głową naczelnik stacyi.

— Kaj ją to nieść? — zapytali robotnicy.

— Pod pompę! Ja ją tu zaraz wykuruję!... — rozkazał krótko zawiadowca.

— Wnet się ocknie!... — śmieli się robotnicy i szybko ruszyli ku pompie.

— *Halt!... halt!...* panie wywiadowce, co pan robi?!...— wykrzyknęli przerażeni żydzi.

Pompa i prawdopodobieństwo spłukania się w zimnej wodzie, zadziwiająco podziałały na „cierpiącą osobę.” W jednej chwili wyskoczyła z noszów i stanęła w obronnej pozycyi.

— Co to jest za uszanowanie dla chore kobite!... Ja zaraz potrzebuje widzieć księgę zażaleń.

— A ty oszustko jedna!... Płacisz czy nie?!... — rozgniewał się nie na żarty zawiadowca.

— My zapłacimy, niech się pan nacielnik nie gniewa, to całkiem głupia żydówka jest...

— Mądrzejsza od was — mruczał zawiadowca, odbierając należną kwotę.

— To są gałgany!... — potakiwał telegrafista — wczoraj chciał mnie jeden orżnąć na depeszy!



W wagonie trzeciej klasy.

Pociąg osobowy za chwilę ma odejść.

Na stacyi *** krzyk i rwetes, pasażerowie cisną się do wagonów, konduktorzy klną, służba stacyjna biega po peronie, jakby pod wpływem białej gorączki i zamęt potęguje.

Zawiadowca stacyi macha ręką, dzwonek uderza, trzy razy, rozlega się świstek nadkonduktora, lokomotywa odpowiada mu ostro, przenikliwie, aż wreszcie zgrzytając rusza z miejsca i z niezmierną siłą wyrzuca z siebie kłęby dymu, podśpiewując wrzaskliwie puch!... puch!... puch!... Zupełnie jak chłop pijany, kiedy mu się nogi plączą, a mimo to ciska czapką w górę i hu! ha! wykrzykuje.

Z wagonu trzeciej klasy wychylił się jakiś wyrostek wiejski i przemawia coś do dwojga zapłakanych staruszków; hałas pociągu głuszy go, jednakże musieli posłyszeć: ostajta z Bogiem!" — bo kreślą znak krzyża, a stary donośnym głosem rzuca za nim przestrogę:

— Wojtuś! Jakbyś tam umer, to ci daruję! ale jak przepomnisz ojca i matkę, to cię przeklnę!

Długo widać ich było, jak stali zapatrzeni w stronę pociągu, który nabierał coraz większego pędu, aż wreszcie razem ze stacyą znikli z oczu chłopaka; więc wcisnął się on w kąt wagonu i zadumał srodze.

— Gdzie ty jedziesz? — zaczepia go młody żydziak.

— Jadę, kaj mi się podoba, a tobie do tego zasię — odburknął chłopak.

— Mojsie, nie zaczep ty takie ordynarne ludzie, co się potrzebują zaraz tak widącz! — ostrzega stary żyd.

Żydziak przezornie się odsunął — chłopak odwrócił się do okna i przez szyby wagonu patrzył na doliny, wzgórza i lasy, które pociąg w szalonym pędzie przecinał.

Nie wesoło znać było mu na duszy, bo łzy miał w oczach i wzdychał.

Tymczasem obok siedząca żydówka wiodła ożywioną naradę z rudowłosym małżonkiem.

— Icyk, ja sze boje, mnie bardzo serce bije...

— Za co ty taka głupia jesteś? jak ci konduktor bulet ostempluje, to włóż go do kuferek a resztę to już zrobię ja.

— *Ny, sygit, gaj sion.*

Icek wstał z ławki, zwrócił się ku drzwiom, lecz cofnął się jeszcze i szepnął.

— Ruchle pamiętaj, że my sobie jesteśmy całkiem nieznajome osobe.

— *Git, git* — zniecierpliwiła się żydówka a Icek spiesznie przeniósł swe kształty do innego wagonu, gdzie też rozsiadł się wygodnie i rozpoczął słodkie miszlenie: Jak konduktor Ruchle bulet ostempluje, to ona włoży jego do kuferek a ja tu powiem, co sze z wagon omylałem i co w tamten „kupe" mam swój kawałek bagaż, to ja tam z konduktorem pójdę i będzie *git!*

— *Wus ist git?* — zapytuje współwyznawca, którego palce spełniały w tej chwili funkcye chustki do nosa.

— Że koleje żeliazne lepsze jest od trzęsące brykie.

— O! toś mądrze powiedział — wtrąca jakiś gruby pasażer — tylko, że bez biletu ani rusz...

— Za co bez biuletu?! — oburzają się wszyscy żydzi jakby na komendę.

— Choćby ty, naprzykład. Wiem, że jedziesz do Wygwizdowa a bilet masz do Oszukanki...

— No to co? Ja nie mogę kupić dalej, jak bede chciał?

— Dlaczego odrazu nie kupisz?

— Po co odrazu? Ja może będe chciał gdzie wisząść, ja lubie wszystko robić na raty...

— Proszę bilety! — rozległ się po wagonie uroczysty głos konduktora.

— Jest! — odezwali się zgodnym chórem żydzi, obmacując kieszenie.

Młody elegant, siedzący obok grubego jegomości, oświadcza zmięszany, że miał bilet z pewnością, tylko mu gdzieś zaginął. Konduktor przygląda mu się drwiąco i oświadcza stanowczo.

— Nic z gapy.

— Z jakiej gapy?!

— No, no, nie udawaj pan, pójdziemy do kary.

— Ten pan miał bilet! — wtrąca ostro gruby pasażer.

— A może pan dobrodziej też... tego... na gapkę tak...

— Pan sam jesteś gawron, panie!

— Proszę mi nie ubliżać! żądam biletów i proszę mi je pokazać.

— Pan mi też nie ubliżaj, panie! mnie obywatelowi z Baraniego Łba!

— E! ja też byłem kiedyś panem na Kozich Dołkach a dla tego teraz...

— Co słyszę! Gwizdalski?!

— Ten sam...

— I nic nie gadasz?

— Co miałem gadać? mogę tu do słowa przyjść?

— A dajże pyska! Gdzież ja oczy podziałem! Ale i zmieniłeś się też. Przychudłeś, no i w tym mundurze... Zresztą toć już i parę lat jak nam zniknęłeś z oczu.

— Tak, już trzeci rok służę na kolei.

— No, no, co za spotkanie! A ja tak i, zawsze gadałem, że ty nie zginiesz. Jak cię ten szelma Aronek zlicytował, jakeś wyjechał, nie pożegnawszy się nawet z nami, to mnie panie dyabli brali na ciebie, żeś się krył przedemną z interesami. Jak do tego jeszcze gruchło po okolicy, żeś sobie tam gdzieś w świecie w łeb strzelił... to i moja Antolka panie... tego... A możeś ty się ożenił?

— Co znowu? ja!

— Toś mi zuch! Przepowiedziałem, że ty sobie coś wygwiżdżesz! Ho! ho! Szczekalska cię rodzi! — dokończył z ożywieniem.

Konduktor spuścił głowę i szeptem zapytał.

— A panna Antonina wyszła za mąż?

— Ha! ha! ha! przyjedź... zobaczysz!...

Gwizdalski sponsowiał.

— Ja z mojem stanowiskiem?

— A cóż to? Może za nizkie progi? — oburzył się szlachcic, udając, że nie wie o co chodzi.

— Ależ...

— Tylko bez wykrętów, panie!...

Przeraźliwy świst przerwał rozmowę; pociąg zwolnił i stanął przed dworcem jak wryty.

. . . .

Machemues! machemues! — rozległ się szwargot w wagonach, gdy na peronie stacyi pojawił się kontroler. Gromada żydów poczęła się tłoczyć, spiesząc po bilety do kasy.

Ścisk powstał gwałtowny.

Icek, pewny swego, przypatrywał się spokojnie jak spacerował *machemues* (tak żydzi nazywają kontrolerów), i dla zabicia czasu rachował sobie ilość wypitych przez pasażerów kieliszków wódki w bufecie i przypuszczalny zysk z tego interesu.

— Pański bilet? — zaczepia kontroler Icka.

— Mam, mam... zaraz... Gdzie ja jestem? To nie mój wagon!... ja się omyliłem!... Gdzie mój bagaż?... *Aj waj mir!...* — krzyczał Icek, udając wybornie przerażonego.

Kontroler w czasie tej sceny, dziwnie się Ickowi przypatrywał.

— Czy pański bilet czasem nie w kuferku w drugim przedziale — zapytał nagle.

— Ku-fer-ku? — wyjąkał żyd — wytrzeszczając oczy. Zkąd pan kontroler może to wiedzieć? Ja istotnie mam taki zwyczaj!...

— Widzisz, kochanku, jak ja znam twoje zwyczaje. Pilnuj go, panie Gwizdalski, żeby nie uciekł, jak pociąg stanie a ja poszukam jego żony, bo czuła para zawsze razem podróżuje.

A!... zgubić mnie chciałeś, judaszu — syknął przez zęby Gwizdalski, poczekaj! będziesz ty mnie pamiętał!...

— Co to za kryminalne gadanie! Ja jestem pasażer, szwęte osobe!

Tymczasem z sąsiedniego wagonu słychać było podniesione głosy:

— Panie dyrektorze, pan się nie potrzebuje rozbić! Ja nic nie wiem... ja mam bilet. . ja żadnego Icka nie znam.

— To się pokaże.

— Panie naczelniku, jo miołem biliet — upewnia wyrostek, szukając po kieszeniach.

— Gdzież ci się podział? — przemawia łagodnie kontroler.

— Kaj się dzioł, nie wiem? Może go żydy chyciły... Dyć i karteczkę tyż mom co mi ten pan od bilitów, kaj je ciągnąłem, napisoł.

— Pokaż!

Chłopak podał zmiętoszony świstek. Kontroler założył binokle i przeczytał:

„Koledzy! Opiekujcie się tym gamoniem, żeby go w drodze nie okradli. Jedzie do Warszawy do terminu. Numer jego biletu jest 1501, serya A."

— Pokaż no pani swój bilet! — zwraca się kontroler do Ruchli.

— Jest panie dyrektorze — przemawia słodko żydówka.

— Ten sam — dziwi się kontroler, spoglądając na karteczkę. Bilet kradziony!... — zadecydował.

— Jakto kradziony! Co to kradziony! Może kasyer ukradł! ja dałam za niego swoje dobre pieniądze!...

— W takim razie na najbliższej stacyi każę panią oddać żandarmowi!

— Icyk! Icyk! *kim schnell!... Wysydues?* — wrzasnęła przerażona żydówka.

— *Wus wilst?* — wpada niespokojny Icek, wyrwawszy się z rąk Gwizdalskiego.

— To twój mąż?...

— Tak jest, panie dyrektorze, on jest odemnie mąż... on ten bulet kupował.

— A widzisz!... Jakiem cię nastraszył, to zaraz oliwa na wierzch wylazła.

— Panie dyrektorze! ja powiem całkie prawde. Ja kupiałem jeden bulet na dwie osobe, bo ja miszlałem, co mąż i żona to jedność jest, ale ja nikomu bulietu nie ukradłem!...

— No, no, dosyć tego, nie pierwszy raz się spotykamy, lecz dziś mi już nie drapniecie, zapłacisz podwójny bilet za całą drogę.

— Ja nie mam pieniądze! — biadał Icek.

— To cię do kozy wsadzę.

— *Hörste!...*

. . . .

— Panie Gwizdalski, będziesz pan przedstawiony do kary — oznajmił kontroler, wracając do pierwszego działu.

— Panie naczelniku... słowo honoru jestem niewinny!...

— Trudno, obowiązek... pilnuj się pan na drugi raz!..

— Pluń na wszystko, panie — odezwał się grubas i jedź ze mną: puszczę ci Sercówek w dzierżawę.

— Jakto? bez grosza?...

— A cóż to? Antolka nie ma nic panie? co?...

Gwizdalski z trudem hamował wzruszenie, bladł i ponsowiał na przemiany.

— Jak się dobiję odpowiedniego stanowiska — wyszeptał, spuszczając głowę.

— Głupiś, mój Michale... Do tego czasu, panie, dziewucha mi zamrze!... I tak sobie rady dać z nią nie mogę.

— Czym ja godzien takiego szczęścia!...

— Sąd o tem do mnie należy.

Rozrzewnili się obaj i padli sobie w objęcia.

Wzruszenie ich udzieliło się współpasażerom do tego stopnia, że jakiś żyd pociągnął Gwizdalskiego za rękaw i rzekł:

— Ny, panie konduktor, ja panu co powiem, ja mam dalej jeszcze jechać, ale już sobie kupię buliet przez ziadne gadanie, coby pan miał i ze mnie dziś pociechę tyż!

Obrazki ludowe.

Opowieść dziada Mateusza o nieboszczyku Floryanie.

Był taki czas, co „chuda" „strasznie" broiła. Dziś człek żył, już po nim i „koniec rzeczy," mości dobrodziejku!...

Żył wtedy i służył na pańskim dworze owczarz Floryan. Dziwy o nim ludzie rozpowiadali, osobliwie stara Walentowa, co umiała zamawiać, gadała, że widywała go często, jak „naguśki" biegał po polach przed wchodem słońca i ciągnął za sobą powróz z „wisielaka." Ale musiał „chudziak" rzecz taką czynić, żeby mu się owce szykowały. Wiedział, że są ludzie ladajakie, co chodzą po świecie bez nijakiej obserwacyi wedle pracy i kawałka chleba, i rozmaite psoty ludziom wyrządzają: to mór na owce rzucą, to krowom mleko zepsują, zasypując trawę takim sekretnym proszkiem i gadając takie rzeczy, o których prawemu chrześcijaninowi mówić się nie godzi.

Wojował mój Floryan jak mógł i potrafił, i niejednę „straśną" godzinę przeżył, ale ludziom dobrym szkody nie robił. Znali go naokół z tego, że niejednego od śmierci ustrzegł, a już dziecisków, co je ratował, to i na kopy by nie zliczył. Miał takie dwie czarne owce, co były na to przeznaczone i do tego „jenteresu" pomocne: kąpał je z dzieciskami razem i choroba, jakaby w „robocku" nie siedziała, na amen ginęła.

Szli więc ludziska do niego, jak na odpust jaki: ten z padaczką, ów z bolączką, febrą albo kołtunem.

Floryan wszystko rozpoznał, zaradził i każdemu ulgę dawał.

Żył sobie spokojnie, owce pasł, ludzi leczył i dobrze mu było na świecie, ale trafił się owczarz z drugiej wsi, co mniej był „znający" od Floryana, a, że był zazdrosny i mściwy, więc zaczął z nim wojować. Poszło im o żydowskie „ziebro."

Do Floryana przyszedł chory, co się żółtość w nim rozlała, trza go było leczyć, a bez „ziebra" skutku być nie mogło. Floryan „ziebra" akuratnie nie miał, bo je na coś „jenszego" spotrzebował. Idzie tedy do owego owcarza (a byli jeszcze w zgodzie) i mówi:

— Pożycz mi żydowskiego ziebra.

— Na co ci?...

— Mam taki „jenteres."

— Weź, jeno mi go oddaj!...

Floryanek zabrał i wziął się do kurowania chorego. Nagotował mu kaszy ze szwedami i kazał mu „ziebrem", niby łychą jeść. Chory jadł bez siłę, ale nie mógł z obrzydliwości „kuńca" dojeść, cisnął miskę z kaszą i „ziebrem" o ziemię; przyleciał pies i kaszę z „ziebrem" zeziar.

Mój Floryan do „ziebra," a tu „ziebra" niema!...

Zafrasował się nieborak, ale nic nie mówi. Przychodzi tamten do niego, o „ziebro" się upomina.—Nie mam—mówi Floryan—pies zeziar!... Jak będzie noc dobra, to pójdę na kirkut i przyniosę ci inne.—Nie chcę innego, ino to samo.—Od słowa do słowa, pokłócili się „straśnie," tamten pogroził i zaczęli wojować.

Oj! nieraz mi potem Floryan mówił: pomiętaj, Matus, brzydkiej dziewki nie całuj i od biedaka nic nie pożyczaj,

bo brzydka na całą wieś chwalić się będzie, a biedny spokoju ci nie da, ino cięgiem o oddanie woła, albo pomstuje!...

. . . .

Jak się trafi na ten przykład w „jenszym" stanie dwa cnotliwe, a dwieście złodziei, tak i między owczarzami różnie bywa. Floryanek, na to mówiący, był uczciwy, a tamten — złodziej zawołany!...

Pędzi raz mój Floryan owce na paszę, patrzy, aż tu jedna bęc! leży nieżywa! druga fik! ani zipnie!... Źle!... miarkuje sobie. Gwiznął na psa, ten owce zawrócił i do domu, mości dobrodziejku. Przeczekał do nocy, wziął baranka we worek, szpadel w rękę i poszedł na kirkut żydowski, gdzie zakopał baranka na grobie żydziątka i wziął kamień z tego grobu. Ale to nie „kuniec" jeszcze, mości dobrodziejku. Odszukał miejsce, gdzie wiedział, że taki żyd leży, co lichwą i oszukaństwem straśnie chrześcijanów za życia gnębił, odkopał go, wziął, co mu potrza było: pazury, serce i „ziebro," a resztę zasypał i „ceiwesem" przywalił. Potem wrócił do owczarni i wziął się do roboty: Utarł z kamienia proszku, serce upalił na węgiel, utłukł i „ziebrem" wszystko wymieszał. Wziął „ziebro" „frygnął" za siebie, kożuch do góry wełną nadział i tak podkradł się do owiec onego owczarza, obrzucił je tem paskudztwem i jakby nic, wrócił do siebie. Tamte owce zaś, mości dobrodziejku, zaczęły padać i konać tak, jak ten żyd przed śmiercią konał.

Floryan rano wygnał swoje stado przed wschodem słońca, położył na miedzy kamień żydowski z numerem, przepędził owce przez niego do trzeciego razu i chorobę, co im tamten zadał, jakby ręką odjął.

Musiał się przecież bronić, mości dobrodziejku!...

Od tego czasu strzegł owiec, jak oka w głowie.

Przychodzi raz do niego jeden taki „nasłany."

— Czego chcesz?... — pyta Floryan.

— Szukam dyabła!...

— Szukasz?...

— Więc dostaniesz!... A ile dasz?...

— Dziesięć papierków.

— Niech będzie!... Pójdziesz do lasu o północy, gdzie krzyżowa droga i tam będziesz czekał...

— Będę!...

Mój Floryanek, jak przyszła noc, wyciągnął z proga osikowy kołek, czapkę rogatą na głowę wcisnął i poszedł. Akuratnie „nasłany” już też czekał.

Floryan podchodzi do niego i pyta:

— Wyrzekasz się świętej wiary?...

— Wyrzekam!...

— I Pana Boga w Trójcy jedynego?...

— Wyrzekam!...

— I Matki Przenajświętszej?...

— Wyrzekam!...

Jak mu już domówił wszystkiego, Floryan jak go nie strzeli w pysk!... Jak go nie weźmie prać osikowym kijem! tak ci ten „nasłany” nie wytrzymał i przepadł, jak kamień we wodę!...

Szczęście było dla niego, że uciekł od Floryanowej złości, bo choć Floryan praktyki różne robił, zawdyk go gniewali tacy, co się Pana Boga i świętej wiary wyrzekać chcieli!...

Ale Floryanowi też to na dobre nie wyszło. Siedział se raz na progu owczarni, patrzy, idzie do niego jakiś człowiek. Żyd—nie żyd?... miarkuje sobie, trudno rozpoznać!... Wciągnął powietrze nosem i poczuł żyda.

Wiadomo, mości dobrodziejku, że każdy żyd śmierdzi!... bo to jeszcze jak byli na pustyni i przepiórkami żyli, to wtedy ono ptastwo siła nieporządku robiło, czego żydzi przez

lenistwo nie sprzątali; za to ich też Pan Bóg pokarał i na wieczność tym smrodem obdarował!...

Tak tedy on, ten żyd, staje przed Floryanem i gada:

— Panie owciarz, ja potrzebuje cosz!...

— Cóż ty chcesz?...

— Dajcie mi co, zieby panna za mną sialała!...

— Cóż ja ci dam?...

— Słuchałem, co jest taki ptak co un lata sobie po zachodzie słońca, jak wróbel. Podobno kość od tego ptak, to bardzo dobre na kochanie jest!...

Floryanek mądry był, ani okiem nie mrygnął i pyta:

— A cóż ty mi dasz za to?...

— Pięcz rubelki!...

Owczarz pogrzebał pod progiem, wyjął kosteczkę z jagnięcia i dał mu, bo nie trza nikogo odstręczać i wszystko mieć, co kto potrzebuje. Oj kontent żyd był! kontent! zapłacił za nią i poszedł. Jakże nie miał być kontent, kiedy kostkę dostał i Floryana oszukał, bo mu dał fałszywy papierek. Miał z tego Floryan biedę, ale i żydowi na dobre nie wyszło, bo jak zaczął pannę oną kością drapać, tak stanik na niej podarł, aż go panna do sądu pozwała i kozą „jamory" ostudziła!...

Od tej przygody z papierkiem, Floryanowi coraz gorzej się wiodło.

„Kajsiś" tam w lesie, ludzie znaleźli „wisielaka." Floryan dowiedział się o tem, a, że mu głowa wisielaka do jakiegoś „jenteresu" była potrzebną, poszedł do lasu, głowę uciął wisielakowi na pieńku, tak jak należy, położył dziewięć groszy, każdy inakszy i głowę z powrozem zabrał do domu.

Siedzi se w izbie, robi co potrza, aż tu w nocy przychodzi wisielak, staje za oknem i woła:

8

— Floryanie, oddaj mi moję głowę, bo jak ja „puńdę" na sąd Boski bez głowy?...

Floryan się zatrząsł i gada:

— Przecież ci za głowę zapłaciłem!...

-- Zapłaciłeś, ale dwa grosze były jednakowe!...

Floryan się dorozumiał, że tę sztukę zrobił mu tamten owczarz, zastawił się osikowym kołkiem i powiada:

— Jakże ja ci głowę oddam, kiedym ją już wygotował, a z kości zrobił proszek?...

— Zmarnowałeś moję — to oddaj mi swoję!... — odpowiedział wisielak.

Jak też Floryana *„spakzmy"* schwyciły, tak — „kuniec rzeczy," mości dobrodziejku.

Pokazało się potem, że to nie żaden wisielak stał pod oknem, tylko owcarz z drugiej wsi tak go nastraszył i o śmierć przyprawił!

. . . .

Stary Mateusz westchnął, otarł łzę i dodał:

— Nie chciał go Dobrodziej pochować na cmentarzu i leży tam za murem. Żeby Floryan gadzinie dobrze jeść dawał, to by był bez dyabła miał chów szczęśliwy.

— Przecież nasza dziedziczka, jak mór padł na jej bydło, nie biegała po polach, ani po kirkutach!

— Dała na mszę świętą, posłała do miasta, po „witryniorza" i wszystko ustało!

— Oj! żeby Floryan był „uściwie" w Pana Boga wierzył, do spowiedzi chodził, Dobrodzieja słuchał, byłby żył i nie umarł, a jakby mości dobrodziejku „kuniec" przyszedł, pochowaliby go, jak należy!

— Zawdy czlek był uczynny, niech mu tam Pan Bóg grzechy odpuści i ziemia lekką będzie!

Jak się Wojtuś z Basią ożenił.

Biedni byli oboje! Ot, dwie sieroty na bożym świecie, bez ojca i bez matki. Chcieli się pobrać, ale, ani wesela nie mieli za co sprawić, ani gospodarstwa urządzić, boć wiadomo, że na to wszystko trzeba niemało grosza.

Chodzili więc tymczasem do fabryki Geldmachera, słynnej na okolicę z lichych wyrobów i lichszej jeszcze płacy.

Stary Geldmacher wyzyskiwał niemiłosiernie czerń roboczą i przebierał w niej, jak w ulęgałkach.

— Za co sobie niemam wibrać?... — mawiał — ja tego bidła zawsze dużo do mojego żłobu dostanę... Mogę sobie pozwolić... kto mi zabroni?... I wydymał dumnie usta, spoglądał groźnie, z podełba, z zabinokli, sterczących na końcu nosa, wskutek czego, robił wrażenie barana, gotującego się do zaciekłej walki.

Szczególniejszą antypatyę czuł pan Geldmacher, do ładnych dziewcząt wiejskich.

— Po co mi ładna? Czy to ja mam z nią mieć romans? Ja wole coby ona była brzydką, bo chlop nie będzie się za nią oglądać i czasu przy robocie tracić.

Że modrooka Basia znalazła w fabryce zajęcie, był to dziw, nad dziwy!

Stało się to, w czasie dłuższej wycieczki Geldmachera zagranicę, gdy urząd dyrektora spełniał syn jego, „ober-inżenier,” pan Moryc.

Stary, po powrocie z wojażu, spotkał się zaraz na wstępie z fertyczną Basią, sortującą na podwórzu odpadki fabryczne.

— Co ty tu robisz?... — napadł na dziewczynę.

— Co mi kazali...

— Kto ci kazał?!

— Któżby, jak nie pan derektur...

— Chodź ze mną...

— Kajże to mam iść?

— Chodź prędko, ja tobie coś powiem, i pociągnął ją za suknię.

— E! niech pan sobie idzie!.. — oburzyła się Basia i pacnęła napastnika w rękę—widzicie go, komu to tu!

— Co ty sobie miślisz?! co ty się tak rzucisz!... — krzyknął groźnie fabrykant.

— Cegóz pan taśta człowiekiem kiewo jaki pies?

Geldmacher zzieleniał.

— Moryc! Moryc *kim schnell!...* — wrzasnął rozwścieczony.

Elegancki żydek wybiegł z kantoru i zmięszany odciągnął ojca na stronę.

— Co papa robi zaraz taki europejski skandal?...

— Ty oszoł!... — wykrztusił stary, ja ci powiadam, co ja te szelmę wirzucę! Zkąd ty ją masz?

— Sędzia ją protegował... Biedna dziewczyna... bez roboty... trzeba się litować nad sierotami...

— *Ny, ny,* jaki ty litośnik!... — pokręcił głową stary.

Moryc wzruszył ramionami.

— Ja cię ostrzegam, nie rób ty na nią oko!

— Aj, papo, papo, jaki z papy musiał być kiedyś bałamutnik, że sobie robi w głowie zaraz takie miślenie!... — roześmiał się synalek.

— Ja tobie mówię, żeby jej tu jutro nie buło, oświadczył stary głosem stanowczym i wyszedł z kantoru dopełnić przeglądu fabryki.

— Zawsze bułem w nieścięściu przez kobiety — mruczał, chodząc z kąta w kąt.—Przecie to mój syn!... On ma *fein kepele*, ale głupie serce!... Ja muszę i potrzebuję go ożenić z te córkę od Fuszermachera, co mi chce pod sam nos stawić fabrikę i robić konkurencye!

W ślad za ojcem wysunął się Moryc i pewny że go stary nie spostrzeże, podsunął się śpiesznie ku Basi.

— Słuchaj — przemówił do niej półgłosem — ja ci potrzebuję coś powiedzieć... przyjdź do lasku... przyniosę ci korale.

Basia spłonęła.

— Niech sobie pan idzie, pókim dobra!

— Jak nie przyjdziesz, to ja cię oddalę z fabryki...

Dziewczynie łzy w oczach stanęły.

— Przyjdziesz? Co ty się boisz? Dostaniesz ładną rzecz, prosił.

— Niech mi pan tu dadzą...

— Tu nie można, tu może jeszcze pan Geldmacher; mój ojciec, zobaczyć, albo Wojtek, a on taki zazdrośnik!... Przyjdziesz?

— No... no... bąknęła.

Moryc wziął to za znak zgody i wrócił rozpromieniony do kantoru. Nie spostrzegł ani złośliwego uśmiechu Basi, ani „starego," który, śledząc go z ukrycia, wysluchał całej rozmowy.

— Czekaj, gałgan!... — pogroził mu, ja ci zrobię ładny skandal w ten lasek!

Rozmowa Moryca z Basią, miała jeszcze jednego świadka, a był nim rozkochany w dziewczynie Wojtuś. Wąż zazdrości ścisnął mu serce, fala krwi uderzyła do głowy, zacisnął pięści i również niewiernej pogroził.

Biedna Basiu! co za gromy zawisły nad tobą!

. . . .

Księżyc wychylił się z po za chmur i mrugał jakby ze snu zbudzony; rzucił smugę światła na rozkoszną polankę w lesie i zatrzymał ciekawy wzrok, na niewieściej postaci, stojącej cicho pod drzewem.

Tajemnicze gwary nocy, szum lasu i szmer płynącej niedaleko wody, musiały ją usposobić do marzeń, bo stała zadumana, zapatrzona przed siebie.

Ocknęła się i zadrżała, słysząc szelest kroków za sobą i trzask suchych gałęzi. Nagle, zamiast rozkoszy słodkiego pocałunku, otrzymała policzek i posłyszała drżący z gniewu głos Wojtka.

— Takie to twoje przysięgi! takie kochanie! Gnaty ci poprzetrącam, jak psa zabiję i... sam się nad twojem ścierwem powieszę! O dolo!

I łącząc groźby z czynem, okładał ją kijem, starając się pochwycić za włosy.

Basia oniemiała z bólu i strachu, niepróbując tłómaczeń, skoczyła do ucieczki. Podkasawszy suknie, sadziła przez pnie i krzewy, jakby jej kto skrzydła przypiął, a za nią, pędził rozszalały Wojtek i okładał sękatym kijem.

— Masz!... masz za moje kochanie! za moją pracę!... Śpiewki!... I za psią wiarę!...

I biegli w świetle księżyca, jak dwa potępione duchy, aż do miejsca, gdzie szeroka wstęga rzeczki, przecięła im nagle drogę.

Basia, widząc się w pułapce, podrażniona bólem, zawróciła i skoczyła obces na Wojtka.

— Zostaw, co robisz?!...

Wojtek stanął jak wryty, wytrzeszczył oczy i wybełkotał zdumiony.

— Basiu!

— Ładne Basiu! niech cię choroba zamęczy!...

— O, dziękaści, słodki Jezu!... — krzyknął chłopak, wypuszczając kij z ręki.

Stary Geldmacher, gdyż to on był, wycierał tymczasem boki, obmacywał głowę i mruczał:



— To wszczeknięty pies z te kochanie! Jak on wali... on mnie całkiem rozbiuł!

. . . .

Rzecz się ku ogólnemu zadowoleniu wyjaśniła. Stary, w strachu o jedynaka, wdział cichaczem suknie swojej sługi i pewny, że wśród cieniów nocy, nikt go nie pozna, przebrał się za Basię, żeby synowi zrobić wielki wstyd i skandal.

Wojtek tymczasem czatował ukryty w krzakach i jak w jakiej farsie, bo choć Basia, przez kpiny obiecała „panu dyrekturowi" schadzkę, to jednak wierna swojej miłości, ani na chwilę nie myślała o zdradzie.

Srodze był zdziwiony elegancki pan Moryc, gdy wchodząc do lasu, posłyszał niezwykły hałas i gonitwę. Trzymając się zasady, iż strzeżonego Pan Bóg strzeże, wziął nogi za pas i drapnął do domu, nie troszcząc się bynajmniej o los bogdanki.

Stary Geldmacher, choć potłuczony, rad był z obrotu sprawy i grubo okupiwszy sobie milczenie Wojtka, położył się na pewien czas do łóżka, tłómacząc się reumatyzmem, który mu często dokuczał.

Nienawiść Geldmachera do ładnych kobiet, przyspieszyła wesele Basi z Wojtkiem, który, dzięki swojej sękatej pałce, mógł prędzej niż myślał, osiąść na własnym chlebie.



FILON I LAURA.

Oddając pierwszeństwo płci nadobnej, przedstawiam łaskawym czytelnikom Laurę. Filon w toku opowiadania sam się zaprezentuje.

Laura służyła u moich sąsiadów, państwa Kłopotkiewiczów, za kucharkę i „do wszystkiego."

Skromność i prostota, niebiański uśmiech, stale goszczący na ustach i oczy w dół spuszczone — świadczyły, że dziewica ta, aczkolwiek czterdziestej dobiegała wiosny, w cnocie była zawziętą i w buzi akuratną.

— Ja jestem „mniej więcej" z obywatelstwa — mawiała — gdy ją który z krewkich parobczaków zaczepił — a wy w rumel paskudne chamy i choć się „mniej więcej" muszę o was obcierać, każdy zrozumie co kto jest i przynależny szacunek odda!...

Szanująca swoję godność „oszoba" była istnym probierzem cierpliwości swojej chlebodawczyni. Nie wspominam o Kłopotkiewiczu, gdyż go w domu nie brano zbytnio w rachubę; jednakże zwierzył mi się pewnego razu, iż bierze go często ochota strzelić w łeb przyjemniej Laurze, albo samemu się powiesić. Pocieszałem go, jak umiałem, lecz napróżno!... Zawziął się na nią siarczyście i snuł złowrogie plany.

Złapał mnie raz w polu, załamał ręce i grobowym głosem zawołał:

— Bracie sąsiedzie, ratuj!...

— Co się stało?...

— Nie wytrzymam z tym kulfonem!..

I zaczął mi opowiadać o swojej niedoli, zapalając się stopniowo, aż w końcu chwycił się obiema rękami za włosy i tupiąc nogami, ryknął strasznym głosem:

— Zabiję!... jak psa ją zastrzelę!...

— Nie, lepiej przepędzić na cztery wiatry?... — reflektuję go.

— Dobryś!... A żona?...

— Hm!... — chrząknąłem — a może sąsiad do Laurci tego... hm... ten!...

— Co?!... — zagrzmiał oburzony głos szlagona. — Ja cię proszę o ratunek, a ty kpisz?...

— Uchowaj Boże!... szukasz sąsiad ratunku, więc, występując w roli doktora, muszę zbadać chorobę...

— Oj!... że choroba, to choroba!... — jęknął złamanym głosem.—Z piekła rodem — powiadam ci. — Piętnaście rubli na kwartał bierze, za drugie tyle tłucze, a brudna, a kłamczuch, a zarozumiała!... Nie wiem, co sobie moja pani upatrzyła w niej takiego!... Zawsze ją broni...

— Może przywiązana? wierna?...

— Ani jedno, ani drugie... Ile razy poproszę jaknajsłodziej, jaknajserdeczniej: Żonusiu, wypędź to bydlę na zbity łeb!... to pani moja złoży ręce i odpowiada:

— Kotusiu jesteś bez serca!... gdzież ja taką sierotę mogę wypędzić?...

Ot, przyjedź, przekonasz się i zapłaczesz nademną!...

— No, chyba do tego nie dojdzie, sąsiedzie, ale zdaje mi się, że najlepiej rzecz zbadać na gruncie, a potem obmyślimy plan działania.

— Zbawco!...

— Nie mów sąsiad hop, aż przeskoczysz! — zawołałem na pożegnanie.

. . . .

W kilka dni potem zajeżdżałem przed dwór państwa Kłopotkiewiczów. Na ganek wybiegła wyżej opisana Laura i, wdzięcząc się do mnie, jak kot do słoniny, pochwyciła mnie wpół, gdym wysiadał z bryczki i, głośno anonsując moje przybycie, literalnie wniosła mnie do pokoju, mimo rozpaczliwego z mej strony oporu.



— Osobliwsza sługa — myślę sobie i już, wierzgając nogami, miałem ją skarcić na wstępie, gdy posłyszałem za sobą wystraszony głos pani:

— Lauro, proszę cię, postaw pana i wynoś się do kuchni.

— Laurcia chciała się przywitać „mniej więcej specyalnie" — tłomaczy się pieszczotliwym głosikiem zawiędła dziewica.

— Dobrze już, dobrze, tylko idź — zniecierpliwiła się pani, podając mi rączkę na powitanie i przepraszając za ekscentryczną sługę.

— Mąż w domu?... — pytam po chwili.

— A jakże, w domu, w domu, „mniej więcej"...

— Lauro!... — przerywa jej gwałtownie Kłopotkiewiczowa.

— Ady idę już, idę proszę pani!...

Spojrzałem za nią takim piorunującym wzrokiem, że aż pani domu cofnęła się parę kroków odemnie i szepnęła zmieszana:

— Doprawdy... to sierota, trochę oryginalna, ale dobra dziewczyna.

— Hi! hi! hi!... wpadł do nas z kancelaryi Kłopotkiewicza piskliwy śmiech Laurci — przyjechali do nas goście.

— Zamknijże gębę, małpo! — odezwał się gruby głos sąsiada.

— Od pani usłyszałam dziś to samo, to teraz jest „mniej więcej" komplet — odcięła się przyjemna dzieweczka i, trzasnąwszy drzwiami, szybko pobiegła do kuchni.

Po chwili zjawił się sam Kłopotkiewicz, czerwony z gniewu.

— A co?.... — zaczął na wstępie, obcałowując mnie, jak relikwie święte.

— Źle!...

Kłopotkiewicz rozpaczliwie dłoń moję ścisnął.

— Waryatka?...

— Wyrobi się, Kotusiu — wtrąciła słodko żona.

— Wszędzie, byle nie u nas!... — zaoponował pan domu.

Brzęk tłuczonych talerzy przerwał dalszy ciąg rozmowy, zakrawający na sprzeczkę małżeńską.

Pani wybiegła z pokoju, a Kłopotkiewicz z desperacyą oznajmił mi, że to już dziesiąty talerz pocałował dziś podłogę.

— A tak codzień sąsiedzie!... codzień się powtarza!... Zrujnuje nas szelma, a jak tylko wspomnę żeby ją oddalić, żona się zapłakuje, że nigdzie sługi nie dostanie, że trafi na gorszą i t d. Powiadam ci, awantury!...

— Wiesz sąsiad co?... Mam myśl!...

— Gadaj, na miłosierdzie Boże!...

— Wydaj ją za mąż!...

Jeszcze tych słów nie dokończyłem, gdy znów Kłopotkiewicz uniósł mnie, jak piórko w górę i, tańcując jak szalony po pokoju, zaczął śpiewać na nutę walca z „Gasparone".

— Ach co za myśl podałeś mi!...

Lecz nagle zatrzymał się na środku salonu i, stawiając mnie ostrożnie na ziemi, zapytał strapiony:

— Dobrze, ale za kogo?...

— W tem sęk!...

— Mężu!... — posłyszeliśmy z drugiego pokoju — wrócił Icek.

— W samą porę utrafił!... —żżymnął się Kłopotkiewicz.

— Idź sąsiad, może co ważnego przywiózł, ja się też przejdę.

— Jeżeliś sąsiad łaskaw, to i owszem.

Wzięliśmy za czapki; w tem na progu ukazała się Laura rozpromieniona i skromna więcej niż zwykle...

— Czego chcesz?... — wybuchnął Kłopotkiewicz.

— Mniej więcej... specyalnie... — szczebiotała Laurcia, skubiąc fartuszek — chciałam wielmożnych państwa objaśnić, że... że Filonek przyszedł...

— Ki dyabeł?... — zwraca się Kłopotkiewicz do mnie.

— Filon jakiś...

— Pies?...

— Nie piesz, tylko kawaler, oburzyła się Laurcia i znikła za drzwiami.

— Co mnie to obchodzi? — mruknął Kłopotkiewicz, wzruszając ramionami.

— Ależ sąsiedzie, to wielki los wygrany na loteryi!... Chodźmy czemprędzej do kuchni zbadać rzecz na gruncie.

W kuchni, wsparty o ceber z wodą, stał jakiś niepokaźny człowieczyna i wpatrywał się, jak w tęczę, w kręcącą się przy kominie Laurę. Wejście nasze nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

— Filonek ukłoń się wielmożnym panom „mniej więcej" — skomenderowała Laurcia.

Kawaler szurgnął nogą i z głupowatym uśmiechem gębę otworzył.

— Przepraszam wielmożnego pana, ale on jeszcze jest „specyalnie" nie obyty...

— He! he! — roześmiał się Filonek.

— Dawno ją znasz?... — zapytuje pani.

— Chcesz się z nią żenić?... — przerywa pan.

Laurcia nadstawiła uszów.

— Ja wedle tego i owszem — śmiał się kawaler.

— Czy ty ją bardzo kochasz — spytałem.

— Ze szczerego serca za nią przepadam, dawno już chciałem ją pojąć w zaślubieniu, ino tatuś i mamusia nie pozwalają, bo mówili, że ona jest trochę za nagła...

— Ależ to anioł wcielony!... — wykrzyknął Kłopotkiewicz — będziesz miał taką żonę, że się za nią każdy oglądać będzie...

— A któż cię tu sprowadził? — spytała pani, spoglądając z wyrzutem na męża.

— „Zakonny" mnie z miasta przywiózł he! he... — roześmiał się kawaler.

— Zarobił szelma korzec grochu — mruknął pan domu i zwrócił się do pokoju, ciągnąc mnie i żonę za sobą.— Chodźmy, nie przeszkadzajmy im... muszą się przecież nacieszyć...

Laurcia wybiegła za nami i, rzucając się państwu do nóg, szlochała.

— Takim państwu, to tylko nogi myć i specyalnie tę wodę pić... Filonek, czego stoisz jak smutna kura... obłap państwa „mniej więcej" za nogi.

Filonek spełnił polecenie i wyjąkal rozrzewniony:

— Aa... kura... a... tnie pięć lat jej szukałem!

— No, to trzymajże ją teraz i uwiń się z weselem, żeby ci znowu nie uciekła! Masz tu na szczęście rubla; zanieś jutro na zapowiedzi!

Stało się!

Kłopotkiewicz dopiął celu, bo ożenił czułą parę. Była jeszcze jedna chwila, że chciał sobie w łeb strzelać, a to gdy przepełniona wdzięcznością Laura, wróciwszy z kościoła, upadła pani do nóg i ofiarowała nadal swoje usługi, choćby za pół ceny.

Ale i ta próba szczęśliwie przeszła. Czuła para obdarzona suto na drogę przez Kłopotkiewicza wyniosła się za góry i lasy.

— Dajże mi teraz sługę, żeby ci jeść umiała gotować!... — dogryzała mężowi Kłopotkiewiczowa.

— Owszem, stawiał się ostro nieborak, weź Kaśkę, albo Maryśkę, naucz ją czytać i...

— I co? i co? niedołęgo!

— I kup jej książkę kucharską!

Co potem zaszło, nic nie wiem, dość, że po upływie pewnego czasu, otrzymałem uprzejmy bilecik pani domu, zapraszający mnie do nich. Stawiłem się na wezwanie; zastałem nastrój jakiś uroczysty.

— Wyobraź sobie, informuje mnie na wstępie Kłopotkiewicz, żona moja nauczyła Kaśkę czytać.

— Winszuję!

— Ale teraz radźcie, co jej kupić?

— Panią Ćwierciakiewiczową naturalnie!

— Bójże się Boga!... — wołał Kłopotkiewicz rozweselony. Krezusa by na to trzeba.

— Ależ nie autorkę, tylko jej dzieło...

— Dawajcie mi tu pachciarza!

Niebawem zjawił się Icek i gładząc brodę czekał na rozkazy.

— Pojedziesz do miasta...

— Mogę jechacz, za co nie?

— Przywieziesz mi 365 obiadów...

— To sze nie zmieszci w brike?.

— Głupiś! książkę kupisz, masz tu notatkę do księgarni.

— *A soj!* to całkiem co innego jest ..

Piękny to był dzień w życiu Kłopotkiewicza, gdy zasiadał do pierwszego obiadu, przyrządzonego przez Kasię.

Rozpromieniony wzniósł toast za zdrowie autorki 366 obiadów, żonie ucałował rączki za Kasię, że ją nauczyła czytać i że uwolniła go od czułej „mniej więcej" Laurci.

K O N I E C.

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Brodziński. „Wiesław“ sielanka wydanie II. str. 32 5

Coppée. Poezje: Błogosławieństwo.—Głowa sułtanki.—Romans Joanny.—Drobne poezje 25

Czajkowski. Baśń o żelaznym wilku.—Madej. 10

Czeng-Ki-Tong. Nowelle z życia Chińczyków:—Sposób na męża.—Złocień.—Życie jest tylko snem.—Papuga; w oprawie w oryginalny chiński papier 25 kop. broszurowane. 15

Dante Alighieri. Boska komedja.—Część I. Piekło. 60
„ II. Czyściec. 60

Djabeł wśród ludu. Historja o djable jako schódł przy babie.—O djable wódkorobie. Chłop i djabeł i t. d. 10

Gaszyński K. Sielanka młodości — Gra i karciarze. 5

Grabowski Bronisław. Krzyż w oazie.—Rzeźbiarz Lychares (obrazek starogrecki) 5

Grajnert. Legendy:—Osiczyna i leszczyna.—Czarodziejska fujarka. Lwia jama.—Sosna.—Bór.—Pieśń prządki.—Śpiew wieśniaczki . . 10

Jankowski J. Lalka (w oprawie) . 30
— Siostra Łucja.—Smutny rycerz.—Chore dziecko.—Śpiąca królewna 40

Krasiński Zygmunt. Poezje (Ułamki i fragmenta) z głosy św. Teresy. Do kobiety.—Zawsze i wszędzie. Koloseum. — Pożegnanie. — Po śmierci. Do Beatryczy.—Roma. Głos szatana. — Syn cieniów. — Z nocy letniej. — Z albumu Gaszyńskiego i inne 15

Karpiński Fr. Poezje: Laura i Filon i inne. 5

Mickiewicz Adam. Bajki. 5

Odyniec A. Legendy z życia św. Franciszka z Assyżu.—Trzy wiśnie.—Pacierze.—Memento mori. 5

Or-Ot. Poezje i monologi. . . . .

Ordon. Poezje: Loterja (wiersz deklamowany przez ś. p. Królikowskiego).—Suknia balowa.—Przed oknem bankiera i inne . . . .

Pług Adam. Sroczka, obrazek zaściankowy z illustracjami . . .

Słowacki Juljusz. Arab.—Mnich 5 k. W Szwajcarji. — Ojciec zadżumionych. Hugo. 10

Zieliński O. Kirgiz 5

Tennyson. Ginewra tł. Pajgert . . 5

Wybór poezji. Błogosławiona.—Zachwycenie.—Chata pod śniegiem. Dzieci. — Złota kaczka.—Grajże grajku 20

DJALOGI MONOLOGI i DEKLAMACJE

ZESZYT I. str. 64 kop. 20

ZESZYT II str. 128 kop. 40

ZESZYT III. str. 64 kop. 20

ZESZYT IV. str. 128 kop. 40

ZESZYT V. str. 96 cena k. . . . 35

ZESZYT VI. str. 128 kop. 40

Franciszek Reinstein. Djalogi i monologi. 15

Ostatnia próba. Dramat w I akcie przez Wacława Szymanowskiego. 10

Strachy, Kaprys sceniczny w jednej odsłonie, wierszem napisał Józef Jankowski 20

Z cyklu monologów charakterystycznych:

ZESZYTÓW XII. zeszyt po kop. . . 10

Napoleon jako Wódz, Cesarz i Jeniec 80

Anegdoty z życia Napoleona I. . . . 60

Album humorystyczny ilustrowany. Nasi żydkowie. Szkice piórem i ołówkiem (pod prasą) . . . .

Księga Anegdot. I. Anegdoty historyczne i humorystyczne . . . 20

Śpiewnik polski. Zbiór śpiewów salonowych i ludowych. Krakowiaków Kujawiaków i Oberków Zeszytów IV po 10 kop. zeszyt